BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

KAMENA

DWUTYGODNIK LITERACKI

LUBLIN

31.V.1959

Nr 10 (176)

ROK XXVI

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: I co dalej, literaturo? ● Jubileusz Tadeusza Bocheńskiego ● O „Dybuku" ● Ze sceny lubelskiej ● Poznałem Nikifora Matejkę ● Eksperyment ● Nowa książka, bibliotekarz czytelnik ● I in.

O TADEUSZU MICIŃSKIM

EDWARD KOZIKOWSKI

Od tego czasu minęło kilka miesięcy.*) Wedle ówczesnej mody obowiązującej brać artystyczną, nosiłem długą pelerynę, czarny kapelusz o szerokim rondzie, długie włosy, a zamiast normalnego krawata, wiązałem sobie pod szyją wstążkę w zawadiacki fontaż. Przypuszczalnie z tego powodu, a może i dlatego, że brałem udział w Zjeździe Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych w Zakopanem i przez granicę przesmyknąłem się za półpaskiem, zostałem aresztowany i osadzony jako przestępca polityczny w więzieniu przy ulicy Daniłowiczowskiej, zwanym żartobliwie Hotelem Bristol. Jak niebezpiecznym musiałem być przestępcą, skoro dwaj stójkowi, którzy mieli mnie przetransportować z cyrkułu przy ulicy Pańskiej do Ochrany na Daniłowiczowską, zastanawiali się, czy nie nałożyć mi czasem kajdanków. Szkoda, iż tego zamysłu nie wprowadzili w życie, miałbym bowiem pełną satysfakcję w samej Ochranie, gdzie badający moje personalia pułkownik żandarmerii, dowiedziawszy się, że jestem „dworianin" czyli szlachcic, zapytał wręcz, czy traktowany byłem przez personel policyjny w sposób nie budzący żadnej wątpliwości. Pewnie też dlatego znalazłem się w jednej celi z innymi szlachcicami, jak dr Rafał Radziwiłłowicz i Zygmunt Chmielewski. Zwolniono mnie po kilku tygodniach pobytu w owym hotelu dzięki energicznej interwencji adw. Bolesława Szyszkowskiego, jako ofiarę mody. Niespodziewanie szybko otrzymałem paszport zagraniczny i znalazłem się w Krakowie, gdzie zacząłem uczęszczać na wykłady uniwersyteckie. Razem z Ejsmondem i Apolinarym Krupińskim słuchałem literatury i filozofii, których to przedmiotów wykładali profesorowie maiorum gentium, jak Łoś, Chrzanowski, Windakiewicz, Heinrich, Sobeski, Garbowski.

Pewnego dnia, a było to chyba w grudniu 1912 roku, uwagę moją zaprzątnął afisz wywieszony w westybulu uniwersyteckim i zapowiadający odczyt Tadeusza Micińskiego, nie pamiętam już o jakim tytule. W oznaczonym dniu stawiłem się w auli uniwersyteckiej, gdzie miał się odbyć zapowiedziany odczyt. Audytorium zebrało się liczne. Przeważała młodzież uniwersytecka. Była i spora grupa pisarzy oraz artystów. Minął kwadrans akademicki, a prelegent jakoś się nie zjawiał. Gdy minął i drugi kwadrans, a prelegenta nie było, publiczność zaczęła się wyraźnie niecierpliwić i dopytywać, co też stać się mogło, ale nikt jakoś nie umiał wyjaśnić. Dopiero po trzech kwadransach, gdy ten i ów zaczął się podnosić, szykując się do wyjścia, wbiegł zadyszany Miciński, zawrócił wychodzących, tłumacząc, że przybywa wprost z dworca, a pociąg, którym jechał, przyszedł ze znacznym opóźnieniem. Wszystko to wypowiedziane zostaje w sposób niezwykle patetyczny i niepokojący zarazem. Okazuje się, że poeta jedzie bezpośrednio z Hellerau spod Drezna, gdzie umarł jego przyjaciel, jeden z twórców gimnastyki rytmicznej. Swoim ściszonym, owianym ciepłem głosem rozpoczyna prelekcję. Mówi o księciu Józefie Poniatowskim, który był właśnie tematem odczytu, i nagle w toku wywodów zaczyna opowiadać o zmarłym twórcy gimnastyki. W natchnionej improwizacji daje jakąś przedziwną syntezę miłości ojczyzny i piękna rytmicznego. Wszystko to jest ujęte w wyszukanym kształcie poetyckim o bardzo wszakże skomplikowanej i zawiłej treści. Aczkolwiek znajdowałem się wtedy pod niewątpliwym wpływem poety i niepodobna było mi oprzeć się urokowi, jaki z niego promieniował, zdawałem sobie sprawę z chaotyczności wywodów jego. Siedziałem w pierwszym rzędzie i słyszałem każde słowo wypowiedziane przez Micińskiego. Była to czysta poezja: klejnoty słów, które rozrzucał hojnie przed przypadkowo zebranym audytorium. Wyobrażam sobie, że w ten sposób mógł mówić tylko Słowacki. Treść jednak była tak zagmatwana, że trudno było w niej się rozeznać. Pamiętam, że w pierwszym rzędzie z prawej strony, o parę miejsc dalej ode mnie, siedział znany estetyk i zbieracz dzieł sztuki, Feliks Mangha Jasieński, który przez cały czas z drwiącym uśmiechem wpatrywał się w Micińskiego. Po prostu nie odrywał wzroku od niego. Dojrzał to prelegent, spojrzawszy raz i drugi w jego stronę. W pewnym momencie zrobił pół obrotu ciałem w lewą stronę sali i w tej pozycji pozostał już do końca odczytu.

Gdy skończył, otoczyli go kołem wielbiciele i znajomi, wśród których przeważały kobiety. Dostrzegłem, jak serdecznie rozmawiał z Kadenem Bandrowskim, który również znalazł się w tej paczce. Gdy otaczający Micińskiego krąg zaczął się rozpraszać, podszedłem do niego. Poznał mię od razu, czym zadziwił i zaskoczył mnie bardziej, niż gdybym nie został poznany. Nie dzieliłem się, jak inni wrażeniami, do czego zresztą nie zmierzał, nie dopytując się o nie bynajmniej. Natomiast począł mnie indagować, skąd się wziąłem w Krakowie i co tu porabiam. Rozstając się, powiedział, że bawi w Krakowie przelotem, udaje się do Warszawy. Prosił, by go odwiedzić, gdy tylko znajdę się z powrotem w Warszawie.

To uwielbienie dla gimnastyki rytmicznej, jakie żywił i wyraził w swoim odczycie krakowskim, pojąłem lepiej w pół roku później, gdy znalazłszy się w Warszawie, zaszedłem do jego mieszkania. Był upalny i duszny dzień, nie było dosłownie czym oddychać. Miciński przyjął mnie na poły obnażony, w narzuconej na ramiona jakiejś białej opończy. Nie usprawiedliwiał się bynajmniej z powodu tego stroju, ale wyczytawszy snadź w oczach moich zaskoczenie, wyjaśnił z miejsca, że czyni to ze względu na zdrowie i dla wzmożenia prężności ciała. Istotnie, ruchy jego były płynne i rytmiczne, co nieraz w nim podziwiałem. Wiem, że uprawiał stale gimnastykę w oparciu o rytm ciała. Czuł podświadomie potrzebę cielesnej zaprawy, nie uświadamiając sobie może, że tego domaga się jego organizacja psychiczna, pracująca w nieustannym napięciu nerwów i wyobraźni. Lubił przechwalać się swoimi wyczynami taternickimi, snując często nieprawdopodobne wręcz opowieści. Podobno siał przerażenie, opowiadając znajomkom kawiarnianym z Udziałowej czy Nadświdrzańskiej, że bez względu na porę i pogodę, chodzi po górach nago i chwali sobie ten sposób, przysparzający mu zdrowia i równowagi ducha. Oczywiście, nie dawano wiary i posłuchu tego rodzaju opowieściom, ale mimo wszystko dopatrywano się w tych przechwałkach jakiejś cząstki, jakiejś odrobiny prawdy. — Wierutne bajki nam opowiada — mówiono — kto by tam wytrzymał w deszcze i zawieje, ale może i chodzi nago, gdy słońce przypieka... W każdym razie muskulatura jego ciała była argumentem ze wszech miar przekonywającym w tej dyskusji.

Owego letniego dnia 1913 roku zostawiłem Micińskiemu parę ostatnio napisanych wierszy moich, pamiętając, że kiedyś wspomniał, iż chciałby wiedzieć, co i jak piszę. Nie wspomniałem słowem, że byłbym rad, gdyby mógł umieścić w jakimś piśmie. Jakież było moje zdziwienie, gdy po kilku dniach otrzymałem od niego krótki liścik, w którym pisał, aby dwóch z tych wierszy o tytułach takich i takich nigdzie nie drukować, gdyż ma w stosunku do nich pewne plany. Wkrótce potem wyjechałem znów do Krakowa i kontakty moje z Micińskim zostały przerwane. Dopiero w lutym czy w marcu 1914 roku dowiedziałem się, że w „Sztuce", wychodzącej w Warszawie, wydrukowano właśnie owe dwa wiersze, które znajdowały się w posiadaniu Micińskiego. Kazimierz Wierzyński wspominał mi, że Wacław Husarski, który należał do zespołu redakcyjnego „Sztuki", recytował mu kiedyś z pamięci w wagonie kolejowym jeden z tych wierszy, z pochlebnym dla mnie komentarzem. Wiersz nosił tytuł „Nad Króla Ducha" i miał brzmienie następujące:

Nad Króla Ducha pochylony tomem,
w góralskiej izbie, gdzie złote sosręby
wiszą, jak niebo nad skalistym
złomem, —
szumię w konarach mej duszy, jak
dęby.

Wzrok cięższy, niźli ołowiana kula
wznoszę i w niebo szafirowe patrzę,
miedziany Glewont głowę w chmury
wtula,
*z dala podobny gorejącej watrze.**

Od czarnych śmreczyn gorąca, jak
lipiec,
a taka cicha, jak świegoty ptaków,
płynie melodia Sabałowych skrzypiec,
utkana z przędzy białych halnych
maków.

Na żółte karty mrocznej legend
księgi,
która mi złote rozwarła podwoje,
spadają głucho, jak słowa przysięgi,
krągłe jak dyski, radosne łzy moje.

*

Po raz ostatni widziałem się z Micińskim w parę miesięcy po wybuchu pierwszej wojny światowej. Mieszkał wtedy przy ulicy Wspólnej pod Nr 73. Idąc do niego, wiedziałem, że dał się wciągnąć do akcji politycznej, organi-

(Dokończenie na str. 2)

*) Vide pierwsza część wspomnień w n-rze 8—9 „Kameny".

FERNAND LEGER

KOMPOZYCJA

Z wystawy malarstwa francuskiego w Warszawie

I co dalej, literaturo?

E. i R. ROSIAK

Ogłoszona przez Redakcję „Kameny" ankieta na temat stosunku do literatury nowoczesnej stała się bodźcem do wysondowania opinii studentów filologii polskiej UMCS. Nie jest przecież rzeczą obojętną, co sądzą o twórczości współczesnych pisarzy i poetów przyszli nauczyciele, bibliotekarze, redaktorzy, wydawcy i naukowcy, a więc ci, którzy za dwa czy trzy lata będą kształtować zamiłowania do literatury wśród tysięcznej rzeszy uczniów i czytelników. Równie ważne jest i to, że właśnie od polonistów można wymagać nie tylko subiektywnych sądów, będących wyrazem indywidualnych gustów i zainteresowań, ale także oceny znacznie pełniejszej, bardziej zbliżonej do obiektywnej, wypływającej z kilkuletnich studiów nad literaturą.

Te dwa czynniki zadecydowały o konieczności przeprowadzenia wśród młodzieży polonistycznej I, II i III roku ankiety, w której wzięło udział 70 osób. Wyniki anonimowej, a więc niewątpliwie szczerej i uczciwej ankiety, są bardzo charakterystyczne dla środowiska i pozwalają na wysunięcie wniosków, mówiących o tym, co dla młodzieży jest żywe, interesujące i aktualne, do jakich dzieł i czasopism zagląda się najchętniej, czego się w nich szuka, wreszcie — na jaką książkę czeka przyszły pedagog-polonista.

Zacznijmy od sprawy zainteresowania uczestników ankiety literaturą nowoczesną. Wymowa cyfr jest przekonująca: 67 osób interesuje się literaturą współczesną, natomiast tylko 3 należą do jej przeciwników. Nie znaczy to jednak, by młodzież podchodziła do tego zagadnienia w sposób bezkrytyczny czy mechaniczny, wprost przeciwnie, za każdym niemal głosem za lub przeciw kryje się wyraźna motywacja zajętego stanowiska. Przytoczmy dla ilustracji kilka fragmentów wypowiedzi anonimowej ankiety:

„Na ogół literatura współczesna bardzo mi się podoba. Odmienne zdanie mam tylko o współczesnych wierszach, zwłaszcza młodych poetów. Nie lubię ich wierszy, zwłaszcza wierszy o tematyce erotycznej".

„Odpowiada mi bardziej proza i proza współczesna, jest bardzo ciekawa, odkrywcza, dobra (Hemingway — jego „Stary człowiek i morze"). Poezja nowoczesna — nie rozumiem jej i raczej nie czytam, to nie jest poezja, czasami tylko dobre chwyty, jakiś lepszy obraz, ale to wszystko, nic poza tym".

„Literaturę współczesną cenię z tego względu, iż stara się w jakiś sposób pokazać psychikę współczesnego człowieka, jego reakcję na otaczającą go rzeczywistość. Pokazuje również zmagania człowieka na podłożu moralnym, etycznym, religijnym, filozoficznym a nawet i politycznym".

„Literatura współczesna ujmuje niekiedy realnością, ale potrafi zrazić zwulgaryzowaniem niektórych faktów życiowych. Przejaskrawione zło i brutalność, brak idealizacji świata, ludzi i życia".

„Literatura współczesna poszukuje nowych form wyraźnie, ale zbyt często są one niezrozumiałe lub bardzo trudne do zrozumienia (poezja). Podkreślić w niej należy specyficzny realizm — oddawanie rzeczywistych myśli autora (ale czy zawsze są one tak niezwykłe, że wymagają niezwykłej formy?) i rzeczywistości obiektywnej".

„Polską literaturę współczesną uważam za mało interesującą (z nielicznymi wyjątkami). Znacznie ciekawsza i pociągająca jest zachodnia. Poruszane problemy moralne, etyczne współczesnego „trudnego" człowieka są naprawdę wielkiej wagi, godne zainteresowania. Natomiast formy podawcze tej nowej, współczesnej literatury według mnie, nie równają się z tradycyjnymi. Są często trudne, niechwytliwe, a powinny ze względu na wagę problemów być bardziej dostępne dla szerokiego ogółu".

Już chociażby z tych kilku przykładów widać wyraźnie zróżnicowanie stosunku do nowoczesnej poezji i prozy. O ile proza spotyka się częściej z zainteresowaniem czytelnika, zwłaszcza ze względu na swoją aktualną wymowę i nową, atrakcyjną, ale przystępną szatę, o tyle poezja młodych odtrąca swoją niekomunikatywnością, bezsensownym poszukiwaniem arcyoryginalnych, skomplikowanych, trudnych do odszyfrowania form, które mają osłonić brak jakichkolwiek głębszych treści. Nie można się dziwić, że do tego „kościoła bez Boga" młody polonista nie chce chodzić, woli nawet wierszy współczesnych poetów nie brać zupełnie do ręki. Nie dotyczy to zaledwie kilku piszących wiersze polonistów, dla których Różewicz, Białoszewski, Harasymowicz i inni wieszczowie z powodzeniem (tylko — na jak długo?) zastąpili Mickiewicza, Słowackiego i Staffa. Ciekawe i budujące jest to, że młodzież wcale nie lubi współczesnych wierszy i utworów prozaicznych o głębokim podłożu erotycznym, rażą ją bowiem swą brutalnością, obdzieraniem człowieka z wszelkich uczuć, ukazywaniem w nim tylko kłębka drzemiących instynktów, które czekają na okazję, by wybuchnąć. Młody czytelnik żąda, by miłość dwojga bohaterów nie sprowadzała się tylko do tanich przeżyć erotycznych. Postulat polonistów jest wyraźny: chcą oni literatury wzniosłych, głębokich uczuć, dla której homo sapiens — to człowiek piękny, mocny i dobry. Młodemu czytelnikowi wcale nie imponuje bohater pozbawiony zupełnie hamulców moralnych, puszczający swobodnie wodze swych zmysłów, szukający w życiu jedynie rozrywki. Co tu dużo mówić — wprawdzie tu i ówdzie odzywają się głosy, że literatura współczesna jest tendencyjna, ale przecież młodzież — mimo wszystko — szuka w niej ciągle tego, na co dotąd czeka bezskutecznie — mianowicie swego ideału.

Jaki powinien być człowiek nowoczesny? To pytanie zadaje sobie polonista, który kończy studia i ma sam wychowywać młodzież, kształtować jej światopogląd, rozbudzać zamiłowania, prowadzić za rękę przez gąszcz trudnych i skomplikowanych problemów otaczającej go rzeczywistości. Pogarda dla „idealnych" uczuć czy „twarda" zmysłowość, cyniczny sceptycyzm, nihilizm, bierność czy zaangażowanie się w nurt współczesności, bezideowość czy świadome dopracowywanie się własnego stosunku do życia — oto problemy, które nurtują naszych wychowanków, szukających wzorów, czekających na to, że wyciągnie się ku nim rękę. Czy jednak młode pokolenie z łatwością może te właściwe przykłady znaleźć? Czy dostarcza ich pokolenie starsze, czy znaleźć je można w dziełach współczesnych pisarzy?

Przypatrzmy się liście najchętniej czytanych przez młodzież pisarzy, a stwierdzimy, że te nieco smutne słowa znajdują pełne odbicie w liczbach. Uczestnicy ankiety wymienili 25 pisarzy polskich, którzy uzyskali następującą liczbę głosów: Iwaszkiewicz — 27, Parandowski — 25, Kossak-Szczucka — 19, Dąbrowska — 11, Andrzejewski — 10, Dobraczyński — 6, Hłasko i Wańkowicz po 5, K. Brandys, Gołubiew, Morcinek, Różewicz i Samozwaniec po 4, Dygat, Fiedler, Hillar, Ożóg i Zawieyski — po 2 oraz Broniewski, Gombrowicz, Jastrun, Iłłakowiczówna, Lem, Morstin i Salaburska — po 1.

Nie licząc Iwaszkiewicza, który reprezentuje prozę i poezję, wypadnie stwierdzić, że pierwszy poeta — Różewicz — znalazł się dopiero na 8 miejscu, zyskując zaledwie 4 głosy i to — jak już była mowa — bodaj tylko młodych adeptów pióra. Broniewski, Jastrun, Iłłakowiczówna — mają tylko po 1 głosie, Hillar — 2 i to już cała poezja! Wymowa tego faktu jest uderzająca: polonista nie zna poezji, nie

(Dokończenie na str. 3)

O TADEUSZU MICIŃSKIM

(Dokończenie ze str. 1)

zowanej na terenie Warszawy przez komitet rosyjsko - polski, na którego czele stały jakieś osobistości mocno podejrzanej konduity, desygnowane przez ówczesne władze administracyjne. Twórczość Micińskiego powstawała w imię walki o Polskę, o taką Polskę, „gdzie wszystkie ramiona stężyły się do czynu i znoszą bierwiona, i życia nowego Dom budują Polsce". Przy tym wszystkim poeta pokładał wielkie nadzieje w Rosji, wierząc, że ludzie pokroju dra Jewenheliewa z „Dębów Czarnobylskich" przeorzą Rosję wszerz i wzdłuż i przyczynią się do powstania wielkiego państwa jednoczącego wszystkich Słowian. Ogłoszona w dniu 15 sierpnia 1914 roku odezwa do Polaków wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza apelowała do rozsądku i uczuć polskich w sposób niesłychanie wymowny: „Przed półtorawiekiem żywe ciało Polski rozszarpano na kawały, ale dusza jej nie umarła. Żyła ona nadzieją, że nadejdzie godzina zmartwychwstania dla narodu polskiego i dla braterskiego pojednania się z wielką Rosją. Wojsko rosyjskie niesie wam błogą wieść tego pojednania. Niechaj się zatrą granice, rozcinające na części naród polski". W tych warunkach trudno się dziwić, że i Miciński dał się uwieść obietnicom bez żadnego pokrycia i został wykorzystany przez carskie czynniki polityczne.

Micińskiego znalazłem w nieszczególnej formie. Był wyraźnie zgaszony i przygnębiony. Mogłem się mylić, ale wydawało mi się, że i sytuacja materialna jego nie była za dobra. Nie mówiłem z nim o tym, gdyż stosunki między nami nie były aż tak bliskie i nie upoważniały mnie do poruszania tego rodzaju spraw. Oczywiście, cała rozmowa skoncentrowała się dokoła wojny i sytuacji na froncie, niezbyt pomyślnej dla Rosji. W toku rozmowy wyraził obawę o los ziem polskich, znajdujących się pod zaborem rosyjskim, przewidywał bowiem, że walec wojny przetoczy się bardziej na wschód i w orbicie działań wojennych znajdą się ziemie po drugiej stronie Wisły. W tym miejscu przypomniał, że niedawno pisał w „Xiędzu Fauście" o mającej nastąpić wojnie światowej. Gdy napomknąłem, że nie mogę sobie przypomnieć, jakie brzmienie miała jego wypowiedź, zdjął z półki „Xiędza Fausta" i zaczął czytać ustęp o przepowiedni maharadży Gospary na temat ogarniającej świat pożogi wojennej: „Wojna sroga toczyła się od Uralu aż po morze Egejskie i od Skandynawii do zapomnianych w krainie wojen kantonów Szwajcarii. Polska zaś była wertepem, gdzie żelazne wozy śmierci miażdżyły miasta i tysiące, tysiące ludu. Nieustająca wichrowa noc, lasy jęczały od żelaznych skrzydeł szatanów, widać było w lesie kły, pięści, rozżarzone ślepia i stryczki na szyjach. Bezsilne już dawne wierzenia, kościoły porzucone, puste szkoły, ograbione zamki — mroczniała dusza narodu zimna i wystygła, jak oczodoły w pustej czaszce". Wizja to rzeczywiście krew mrożąca w żyłach, która w okresie pierwszej wojny światowej częściowo tylko sprawdziła się, gdy wojska austro-węgierskie wtargnęły w głąb Lubelszczyzny, siejąc zniszczenie, mord i zagładę. Przepowiednia spełniła się natomiast całkowicie nawet w szczegółach, w czasie drugiej wojny światowej.

Nie przypuszczałem, że ta rozmowa z Micińskim będzie ostatnia. Nie widziałem się już z nim ani razu, choć mieszkaliśmy niedaleko od siebie. Wiadomość o jego wyjeździe do Rosji zaskoczyła mnie, aczkolwiek w zasadzie można było tego oczekiwać, zważywszy, że jako poddany austriacki, podlegał przymusowej ewakuacji z terenów objętych działaniami wojennymi, w myśl obowiązujących przepisów administracyjno - wojskowych. Pochłonięty własnymi troskami, które osaczyły mnie jak stado wron i kruków, odkładałem z dnia na dzień zamiar odwiedzenia Micińskiego. „Serca nie zleczą żadne złotogłowy, żaden skarb troski nie wybije z głowy" — powiada Kochanowski. Żałowałem poniewczasie, iż tak się stało, imaginując sobie, że może udałoby mi się skłonić poetę do pozostania w Warszawie. Niestawiennictwo jego na ewakuacyjnym punkcie zbornym uszłoby na pewno uwadze czynników administracyjnych i przeszłoby bez żadnych następstw. Rozgardiasz, jak pamiętam, panował wtedy nieopisany, wszyscy tracili głowy z byle powodu i łatwo było zmylić czujność władz.

Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Warszawy, wracałem nieraz myślą do niego, zastanawiając się, gdzie przebywa i co porabia. Dzieliły nas przecież nie tylko niezliczone kilometry, ale i okopy i linie frontu. W ciężkich warunkach okupacyjnych mijały miesiące, przechodził rok za rokiem. W Rosji nastąpił przewrót, a niedługo potem padły mocarstwa centralne. Oczekiwane od dawna wyzwolenie Polski stało się faktem. Od tej chwili zaczęły napływać sprzeczne często wiadomości o losie Micińskiego, powtarzać się coraz częściej, aż wreszcie przyszła wieść tragiczna, że poeta nie żyje. Trudno zorientować się, w jakich okolicznościach śmierć nastąpiła, relacje bowiem pochodzące od kilku osób wykazują rozbieżności. Ciało jego, zmasakrowane w sposób bestialski, znaleziono nad brzegiem rzeki Czeczory, okryte płaszczem wojskowym. Pochowano je na cmentarzu katolickim w osadzie Małe Małynicze pod Czeczerskiem. Nie sposób dociec, jakie były pobudki tej ohydnej, wołającej o pomstę do nieba, zbrodni, chęć zwykłego rabunku czy porachunki polityczne. Nienawiść kierująca ręką morderców pozbawiła życia człowieka przenikniętego zasadami wysokiej miary humanitaryzmu, którym kierował się od najmłodszych lat. Na kilka lat przed śmiercią pisał w „Xiędzu Fauście": „Nie twórzmy nienawiści względem żadnej rasy ani narodu. Polska jest już cała zmieniona w kraj nienawiści, nienawidzimy Niemców i Rosjan, nienawidzimy Żydów, nienawidzą nas Litwini i Ukraińcy, nienawidzą się socjaliści i narodowcy, bronią nienawiści walczy nawet kościół, wychowująca nas dotąd Matka. Więc módlmy się o światło, które jest potężniejsze niż nienawiść, módlmy się o Moc, która jest warta więcej od produkcji fabrycznej i wolnej... Módlmy się o zejście do nas Ducha, o narodzenie Boga w nas!"...

Wydaje mi się, że należałoby wszcząć zabiegi o przeniesienie prochów Micińskiego do Polski, zanim tam, na obcej ziemi, na nieznanym i pozbawionym opieki cmentarzysku, leżącym z dala od głównych traktów komunikacyjnych, zaginą bezimiennie w zbrataniu pośmiertnym z innymi prochami.

Idziesz tu ze mną w zamarłe
pustynie,
gdzie rzeka szemrząc w cyprysach
płynie,
a niebo jasne rozpala pożogą,
jak skrzydła duchów, co wzlecieć
nie mogą.

*

Rękopisy Micińskiego, załadowane do podniszczonej walizki średnich rozmiarów, przybyły w roku 1923 z Rosji do Warszawy, głównie dzięki staraniom Andrzeja Struga. Ile zużył energii i jakich chwytał się sposobów, aby te bezcenne skarby odzyskać dla Polski, wiem tylko ja, niemy świadek jego wysiłków. W wykonaniu woli Zarządu Związku Literatów, zdobyte manuskrypty oddane zostały pod opiekę Arturowi Górskiemu wraz z sugestią, by znalazł fundusze dla ich uporządkowania i przygotowania do druku. O wydawcy trudno było myśleć, zważywszy, że dzieła Micińskiego nigdy nie cieszyły się popularnością i na pokup liczyć nie mogły. Dobrawszy sobie do pomocy młodego polonistę, Czesława Latawca, Artur Górski przygotował materiał rękopiśmienny do druku. Miał on zmieścić się w dziesięciu tomach. W roku 1931 wydano tom pierwszy pism pośmiertnych Micińskiego pt. „Lucyfer", zawierający dwa utwory: poemat „Niedokonany" i opowieść „Mené-Mené-Thekel-Upharisim". Reszta tomów pozostała w rękopisach do roku 1944, aby w czasie Powstania Warszawskiego podzielić los ich autora. Zachowały się jedynie maszynopisy kilku mniejszych utworów dramatycznych. Znajdują się one w zbiorach Artura Górskiego. W moim posiadaniu są rękopisy drobnych utworów poety i luźne fragmenty dramatu. Otrzymałem je w marcu 1939 roku od jednego z b. oficerów korpusu Dowbora Muśnickiego.

Z najgłębszych piekła zim —
najwyższy żar płomienia,
raj niewyśnionych snów, niszczyciel
gwiazd — jam jest.
Na ziemi tułam się, z chmur
skrzydła wlokę w otchłani —
człowieczy ból, aniołów hymn,
szatana myśl, jam jest.
Jam nieświadomy — i znany tylko
mnie — o, skończ męczarnie!
gdziekolwiek idę — jestem duszą. —
Przeminie świat, jam jest.

Edward Kozikowski

Z POEZJI TADEUSZA BOCHEŃSKIEGO

Ptaszek

Srebrne buki i srebrny
między bukami wiatr,
i jeszcze srebrny ptaszek
na wykrot świerka spadł.

Srebrną by się zapewne
rozdzwonić pieśnią chciał,
lecz tylko ołowiane
druciki los mu dał.

Z drucików ptaszek przędzie
małego życia krzyk.
Tak samo pieśń człowieka,
nim — zwalił się i znikł.

Pogrzeb

Matkom tragicznym

Była chuda, koścista i czarna.
Szła śpiesznie, okrutnie,
ale ciężko, jak idą żarna,
i smutnie.

Coś niosła. Nie wiedzieli co,
choć ją mijali o łokieć.
Młody mijał i gwizdał,
starszy na ogarek papierosa niczyj,
chodnikowi zakalę, nie przystał:
końcem palicy
zepchnął go w stok.

Była chuda, koścista i czarna.
Szła śpiesznie, okrutnie,
ale ciężko, jak idą żarna,
i smutnie.

Coś niosła. Szary papier
osłaniał to oble, z świecka.
Trzeba było zajrzeć w lufę papieru
szarą,
aby poznać trumienkę dziecka.

Z MARCJALISA

1. Uczta

Chłonie słuchacz, wychwala me książki
czytelnik,
aż orzekł wieszcz niektóry, że błędami rażą.
Nic to. Myślę, że uczta powinność wypełni,
jeśli bardziej smakuje gościom niż kucharzom.

2. Na chorobę Letyna

Czemu cię nie opuszcza choroba, Letynie,
pytasz co dzień, a wzdychasz, a stękasz do
wtoru.
Jeździ z tobą powozem, kąpie się po społu,
jada grzybki i rybki, małże, dziką świnię;
podnieca się setynem, upija falernem,
cekubu — tylko śniegiem chłodnego smakuje;
woniejąca różami i nardem bezcennym
w puchach się rozpościera, drzemie na
purpurze.
Kiedy jej tak wygodnie, kiedy tak, Letynie,
u ciebie wielkopańsko, miałaby się wynieść.

JUBILEUSZ POETY

6 maja br. Oddział nasz obchodził niepowszednią uroczystość: przy lampce wina i czarnej kawie miejscowi literaci spędzili dwie godziny goszcząc w swoim lokalu Tadeusza Bocheńskiego, dawnego kolegę, ex-lublinianina, przez 13 lat związanego z naszym miastem. Na miłej pogawędce i wspomnieniach z lat młodości szybko upłynął czas do rozpoczęcia uroczystego wieczoru autorskiego jubilata, który w r. 1919 wydał w Lublinie swoją pierwszą książkę pt. „Poezje".

Stali bywalcy Zakopanego pamiętają kaligrafowane dawniej własnoręcznie przez prelegenta i przymocowywane przez niego pineskami na słupach ulicznych ogłoszenia zapowiadające tematy jego „piątków literackich". Z żelaznym uporem, konsekwentnie, mimo licznych trudności, braku odpowiedniego lokalu i niedoceniania jego pracy przez miejscowe czynniki, Tadeusz Bocheński dwudziesty już rok kontynuuje wygłaszanie cotygodniowych prelekcyj poetyckich, których liczba sięga już 1200. Praca ta, konspiracyjnie rozpoczęta w czasie okupacji, doczekała się wreszcie uznania zarówno „u góry" w Warszawie, jak i w Zakopanem: Bocheński otrzymał wysokie odznaczenie państwowe i od trzech lat normalne drukowane afisze anonsują jego prelekcje, które odbywają się w sympatycznym lokalu przy ul Kościuszki („Turnia").

Ten „uniwersytet poetycki" jubilata, świetnego prelegenta, zakochanego w klasycznej poezji greckiej, rzymskiej, hinduskiej, niemieckiej, francuskiej i włoskiej, propagującego jej piękno we własnych przekładach oraz popularyzującego naszą poezję romantyczną, młodopolską i współczesną, — spełniał szczególnie ważną rolę w czasie lat okupacji, krzepiąc ożywczą mocą polszczyzny zwątpiałe i znużone serca słuchaczy.

Ale to jedna strona działalności jubilata, który mimo czterdziestolecia swej pracy jest w pełni sił twórczych, tworzy utwory oryginalne i transponuje na język polski arcydzieła poezji światowej. Transponuje, bo nie zawsze są to przekłady w ścisłym tego słowa znaczeniu. Nieraz to tylko transkrypcje, naśladownictwa, adaptacje, jakby nowe wiersze osnute na kanwie oryginałów. Poeta żartobliwie nazywa ten bardzo indywidualny sposób przekładania niektórych utworów ich „bocheńszczeniem".

W ciągu 40 lat Bocheński dokonał olbrzymiej pracy. Jako poeta oryginalny początkowo ulegał wpływom Młodej Polski, zwłaszcza Tetmajera, i własnego oblicza poetyckiego dopracowywał się dość długo. Wprawdzie zbiorek „Moja kantyczka" (Lublin, 1926), zawiera już kilka bardziej oryginalnych wierszy, ale dopiero utwory późniejsze, zamieszczane przed wojną w czasopismach literackich („Kamena", „Okolica Poetów") i w „Antologii poezji lubelskiej" (1939), świadczą o wybitnie indywidualnej postawie twórczej autora, poszerzeniu kręgu jego zainteresowań (od tematyki intymno-rodzinnej i tatrzańskiej do — filozoficznej) i o zmianach, jakie zaszły w jego warsztacie poetyckim (skłonność do prostoty wyrazu i ciekawe, choć moim zdaniem, nie zawsze szczęśliwe próby bogacenia słownika poetyckiego — nie przez tworzenie neologizmów, lecz przez przypominanie lub wskrzeszanie dawnych wyrazów). Jako tłumacz Bocheński zwrócił na siebie uwagę już doskonałym przekładem Hezjodowej „Tarczy Heraklesa", wydanej w r. 1924.

Cykl tłumaczeń, naśladownictw i transkrypcyj pod ogólnym tytułem „Gościńce" (w sensie — dary gościnności) pomyślany jest jako olbrzymie dzieło dziesięciotomowe o następującym układzie: I — poezja indyjska (30 hymnów „Rigwedy", gnomy, Amaru, Bhartryhary, poeci nieznani, garść utworów Rabindranatha Tagorego); II — poezja grecka (Hezjod: „Teogonia" i „Tarcza Heraklesa", wszystkie hymny homeryckie — 33); III — liryka grecka (pieśni ludowe, Archiloch, Alkajos, Safona, Anakreont, Ksenofanes, Hiponaks, Simonides — głównie epigramy); IV — grecka liryka chóralna (Stesichoros, Ibikos, Pindar, Bakchylides), poeci aleksandryjscy (Kallimach, Teokryt), wojna żabio-mysia; V — poezja rzymska: Catullus, wszystkie sielanki Wergiliusza, Propercjusz, Horacy (ok. 50 pieśni), Owidiusz (elegie miłosne i wygnańcze); VI —poezja rzymska: 350 fraszek Marcjalisa; VII — liryka włoska i francuska: Petrarca, Leopardi, Carducci, Ada Negri, Pascoli, fragmenty misteriów francuskich, Plejady, Lamartine, Baudelaire (20 sonetów), Heredia (100 sonetów), ze współczesnych — Cocteau i Jacob; VIII — klasycy niemieccy: Goethe, Schiller i Heine; IX — liryka niemiecka po Goethem: Rückert, Ginzkey, Wildgans, Morgenstern, Dauthenday oraz poezja ukraińska; X — ostatni tom, ma zawierać komentarze do wszystkich poprzednich.

Prócz tego Bocheński ma w rękopisie dwie rozprawy: o Heredii pt. „Kwiaty z kruszcu" i o Reymoncie, głosy „Nad Tuwimem", „Dziennik tatrzański" oraz wykonaną już w połowie monumentalną rzecz — nowy przekład „Iliady".

Pomyśleć tylko: co za olbrzymi dorobek! Dorobek w ogromnej większości nieznany (po wojnie Tadeusz Bocheński drukował bardzo mało i uczestniczył jedynie w antologii „Wybór poezji Goethego" (wyd. Biblioteki Narodowej). Ten obfity plon poeta zawdzięcza gruntownej znajomości kultury i języków starożytnych, poważnej wiedzy filologicznej, fanatycznemu umiłowaniu poezji i systematycznej, niezmordowanej pracy.

Czas największy, by wydawcy zainteresowali się tą olbrzymią liczbą utworów. By w roku jubileuszowym Tadeusza Bocheńskiego wydali zbiorek jego wierszy oryginalnych i antologię jego przekładów. A jest w czym wybierać!

I pamiętajmy, że Tadeusz Bocheński jako znawca kultury starożytnej, filolog, poeta, pedagog i pianista-muzykolog w jednej osobie, jest swego rodzaju osobliwością. Niech temu typowemu humaniście nie dzieje się krzywda. Nie byłoby chlubnym świadectwem dla naszej dzisiejszej kultury, gdyby Bocheńskiego „odkryły" dopiero następne pokolenia.

K. A. Jaworski

I co dalej, literaturo?

(Dokończenie ze str. 2)

umie często zadeklamować jednego chociażby wiersza współczesnego. Niestety, piękne liryki Broniewskiego popłynęły w mroki zapomnienia wraz z pijanym bełkotem wielu „młodych poetów". Poezja przestała być tym, czym była jeszcze nie tak dawno, zerwała odwieczne więzy przyjaźni z człowiekiem, stając się jednym ze sposobów spekulacji myślowych, jedną z form łamigłówek i szarad, terenem eksperymentów, na które nikt nie czeka.

A jak jest z prozą? I tu fakty są bezsporne. Młodzież sięga po lekturę dzieł takich pisarzy, których o nowoczesność sensu stricto posądzać raczej nie można. Bo jakże inaczej ocenić Iwaszkiewicza, Parandowskiego czy Kossak-Szczucką? Czym wytłumaczyć zaledwie 5 głosów oddanych na Hłaskę, który jak meteor szybko zabłysnął i jeszcze szybciej zgasł. Dwa głosy oddane na laureata cenionego przez krytykę — St. Dygata czy zupełny brak nazwiska Newerlego, bijącego jeszcze przed dwoma laty wszystkie rekordy poczytności — też mają swoją wymowę. Polska literatura współczesna nie ma w młodych polonistach zbyt gorących entuzjastów i daleko jeszcze do tego, by mogli oni znaleźć w niej to, czego szukają. A szukają nie blichtru, nie sensacji, szmiry i lekkiej strawy. Na liście nie ma ani jednego autora „kryminału", nie ma też pisarzy typu Mniszkówny. A więc nie o romans czy powieść sensacyjną chodzi młodzieży, tylko o literaturę wyższej rangi.

Utwierdza w tym przekonaniu stosunek uczestników ankiety do pisarzy obcych. Wymieniono tu mniej nazwisk niż przy literaturze rodzimej. Wśród 17 nazwisk na czoło wybija się zdecydowanie 4 pisarzy: Hemingway — 36 głosów, Camus — 26, Mauriac i Sartre po 18. Z pozostałych — Steinbeck otrzymał 8 głosów, Huxley — 7, Remarque i Faulkner — po 3, Zweig — 2, Arnaud, Conan Doyle, Giraudoux, Greene, Kafka, Laxness, Dos Passos i Sagan — po 1.

A więc i w odniesieniu do literatury obcej nie można imputować studentom poszukiwania sensacji (jedynie Conan Doyle i Fr. Sagan, którzy otrzymali zaledwie po 1 głosie). Ale rzecz znamienna — wśród pisarzy obcych nie ma ani jednego pisarza radzieckiego. I znowu wydaje się, że wraz z licznymi mizernymi lekturami, jakimi karmiono młodzież jeszcze nie tak dawno — wylano z kąpielą i dziecko, zapomniano o Szołochowie, Erenburgu, Pasternaku.

Obiektywnie trzeba przyznać, że największą poczytnością wśród młodzieży cieszą się zwłaszcza pisarze reprezentujący nurt katolicki.

Wszelkie wątpliwości musi w tym miejscu rozwiać odpowiedź na pytanie, dlaczego młodzież czyta pisarzy współczesnych. Aż 39 osób stwierdziło, że zasadniczym motywem, który skłania ich do sięgania po książkę współczesną, jest chęć pogłębienia wiedzy. Dla przyjemności czyta 24 osoby, dla potrzeby intelektualnej — 21, natomiast z obowiązku — tylko 3, zaś 1 osoba czyta dla snobizmu. Nic więc dziwnego, że chcąc zaspokoić głód wiedzy, potrzebę intelektualną i jednocześnie przyjemność — nie łatwo znaleźć odpowiednie pozycje literatury nowoczesnej.

Jeśli chodzi o czasopisma współczesne — sytuacja przedstawia się następująco: bezwzględnie najpoczytniejsze jest „Życie Literackie", które zdobyło 53 głosy. O drugie miejsce walczy „Kamena" z „Nową Kulturą" — po 33 głosy, dalej idą: „Kultura i Życie" — 19 głosów, „Twórczość" — 9, „Przegląd Kulturalny" — 8, „Trybuna Literacka" — 5, „Teatr", „Tygodnik Powszechny" i dodatek literacki do „Nowej Wsi" — po 4, „Polonistyka" — 3, „Dialog", „Kierunki" i „Współczesność" — po 2, „Pamiętnik Literacki" — 1.

Wśród wymienionych 16 tytułów zupełnie brakuje „Przeglądu Humanistycznego", „Pamiętnika Teatralnego" i innych pism o charakterze naukowym. Widać wyraźnie, że młodzież stroni od lektury poważniejszej, woląc tygodniki o charakterze społeczno-kulturalnym. Nie interesuje jej literatura obca, nikt nie czyta „Literatury Radzieckiej" nie marząc już nawet o czasopismach w obcych językach. Jedynym pozytywem i to dużego kalibru jest bardzo wyraźne zainteresowanie młodzieży dla problematyki regionalnej, czego dowodem jest tak wysoka lokata „Kameny", a nawet „Kultury i Życia". Świadczy to o tym, że są wśród młodzieży zainteresowania dla aktualnych spraw i przeszłości Lubelszczyzny, dlatego też wyniku ankiety nie można traktować jako przypadkowego zbiegu okoliczności.

Ostatnim problemem jest opinia uczestników ankiety na temat perspektyw literatury. Trudno sobie wyobrazić polonistę, który przewidywałby jej koniec i dlatego ta koncepcja nie znalazła ani jednego zwolennika. Natomiast bardzo różnie wyobrażają sobie poloniści dalsze losy literatury, dzieląc się na niemal równorzędne 4 obozy. Stosunkowo najliczniejsza grupa (22 głosy) opowiada się za zupełnie nowym typem literatury, zwycięstwo literatury nowoczesnej przewiduje 17 osób, utrzymanie się obecnego stanu — 16, a powrót do form tradycyjnych — 15.

Oddajmy głos autorom ankiety i przytoczmy dwa charakterystyczne fragmenty:

„Uważam, że literatura będzie rozwijać się dwutorowo. Obok rozwoju nowatorskich form literackich, pisarze będą sięgać do form tradycyjnych".

„Perspektywy? Zwycięstwo literatury nowoczesnej. Radio, telewizja, kino — przejmą tylko uboczne funkcje literatury — informowania, propagowania, postulowania, krytyki itp..."

Wyniki ankiety są dobitnym świadectwem realnych zainteresowań i dążeń studentów filologii polskiej UMCS, zainteresowań, których literatura nowoczesna nie jest jeszcze w stanie zaspokoić. Dlatego też odczuwający głód dobrej książki poloniści stawiają wyraźnie pytanie: i co dalej, literaturo?

E. i R. Rosiak

Powrót do piekła *

RYSZARD LISKOWACKI

1. NIESZCZĘŚLIWY STARUSZEK

Z TRUDEM dostałem się do zatłoczonej poczekalni. Pierwszy etap podróży był już za mną. W Gorzkowicach czekałem na pociąg równe trzy dni. Nie ja jeden. Z okolicznych wiosek, jak na pielgrzymkę, ciągnęły tłumy warszawiaków w kierunku stacji. Wzdłuż kolejowych torów rozpalano pospiesznie ogniska. W nocy wyglądało to nawet pięknie. Ale tylko z daleka, skąd nie było widać dokładniej tych ludzi, którzy za wolność zapłacili zbyt słoną cenę.

Zawiadowca stacji, olbrzymie rude chłopisko, łaził znudzony wśród przytupujących z zimna ludzi. Ciągle zadawano mu to samo pytanie:

— Kiedy będzie pociąg?

Odpowiadał:

— Duchem świętym nie jestem. Cholera go wi. Dzwonili, że już wyszedł z Radomska. Jak przyjdzie, to będzie.

Tak, teraz jestem już w Koluszkach. Do Warszawy tylko jeden skok. Staruszek przysunął się w moją stronę. Obserwował mnie od dłuższego czasu i zaczynało mnie to irytować.

— Kawaler sam podróżuje?... — mrugnął do mnie porozumiewawczo.

— Sam. A bo co? — odburknąłem.

— A no nic. Tak pytam.

Nieproszony wepchnął się na podwyższenie z cegieł, na którym siedziałem.

— Ciągną ludziska — zatoczył ręką po nabitej tłumem poczekalni. — Każdy chce wrócić do swojego. Tylko co tam zostało... do czego wracać? A kawaler gdzie mieszkał?

— Na Marymoncie.

— Znam. Znam. Bidnie tam było. Taka dzielnica dla ubogich. Córka tam mieszkała. Pod samym lasem. W lecie to nie powiem... Las blisko, Wisła blisko. Córka miała ogródek. Jeździłem tam. A córka nie żyje — powiedział oschle. — I zięć też nie. Wnuczka się tylko uratowała. Teraz jest u obcych. Jak tylko wykombinuję jakiś kąt w Warszawie, to wezmę dziewuszkę do siebie. A kawaler sam został?

— Nie. Nie sam.

— Dzięki Bogu...

Dłubał w kieszeni szukając papierosów.

— Zapali kawaler?

— Nie palę!

— Porządny kawaler. Dobrze wychowany. Jak kto dobrze wychowany, to go żadna wojna nie zepsuje — filozofował, zaciągając się głęboko dymem.

— E, gadanie — zaprotestowałem. Dobrze wychowany, znaczyło dla mnie tyle, co ciamajda, maminsynek, niedołęga życiowy. — Nie palę, bo mi nie smakuje. Jakby mi smakowało, to bym palił.

— Patrzcie go — staremu zaiskrzyły się malutkie, czarne oczki — jaki rezolutny.

W tym momencie w poczekalni rozpoczęła się jakaś awantura. Chciałem podejść bliżej, szkoda mi było jednak tego siedzącego miejsca.

— Łapy przy sobie, pętaku. Poszukaj sobie dziwki...

— Patrzcie go. Obrońca! Partyzant. Psia go mać.

— To już nie jest tak źle, jak się o dziewczyny zaczynają kłócić — powiedział spokojnie staruszek. — Znaczy się, że świat wraca do swojego porządku. — Białymi, długimi palcami rozpinał powoli uszytą z zielonego, wojskowego koca, kurtkę. Zdjęcia miał owinięte w starą niemiecką gazetę. Zanim mi je pokazał, przyglądał im się przez dłuższą chwilę sam. Mówił przy tym, ale jakoś bez związku. Nie wiedziałem, o co mu chodzi: — Źle stałeś. Podejdź bliżej. Albo. — Mógłbyś się zapiąć. Nie zasłaniaj jej.

Wreszcie zwrócił się do mnie:

— Niech kawaler zobaczy. To jest Krysia...

— Jaka Krysia?

— Jak to jaka? — Oburzył się. — Moja córka. Przecież miałem ją tylko jedną.

Otarł ręką oczy, w których nie dostrzegłem jednak łez.

— Włosy miała jasne — mówił monotonnie, jakby powtarzał wykutą formułę — oczy niebieskie. Wszystkie zęby miała zdrowe. I w ogóle nigdy nic chorowała. A kawaler choruje?

— Czasami. Jak mam czas.

— Dowcipniś — ucieszył się staruszek — odpowiada jak stary. — Szarpnął mi zdjęcie z ręki.

Chciało mi się bardzo spać. Gwar ludzkich głosów zamieniał się w jakiś jednostajny szmer. Byłem tym szmerem wypełniony jak jakaś pusta bania. Unosiłem się razem z cegłami, na których siedziałem, aż pod brudny, zakopcony sufit. Ludzie zadzierali głowy do góry. Ale nie widzieli mnie, mieli bowiem oczy zamknięte. Spali oparci wzajemnie o siebie.

— Jak przyjedzie pociąg, niech mnie pan obudzi — powiedziałem sennie do staruszka.

— Niech kawaler śpi. Jak przyjedzie pociąg, to kawalera obudzę.

Otworzyłem oczy w momencie, kiedy wstawał z cegieł.

— Jeszcze nie ma pociągu — powiedział prędko. — Ja tylko pójdę za swoją potrzebą i wrócę. Niech kawaler pilnuje mi miejsca.

Nie bardzo się ucieszyłem, że wróci. Ale miejsca pilnowałem. Pilnowałem aż do momentu, kiedy wsadziłem rękę do kieszeni i stwierdziłem, że nie mam tam moich pieniędzy. Przeszukałem nerwowo jeszcze raz. I jeszcze raz. I mógłbym tak szukać do siódmej niedzieli.

2. CZTEREJ SPRAWIEDLIWI

TYLKO lewa strona tej zagubionej na peryferiach miasta uliczki była zabudowana. Zresztą, zabudowana, to może za duże słowo. Wśród rozległych, trochę dzikich ogrodów przykucnęło tu kilka parterowych domków. Ten ostatni domek, w pobliżu którego stali teraz Szymon i Nikodem, graniczył już z podmiejskim polem, na którym w letnie dni okoliczni mężczyźni spędzali w nieskomplikowany sposób wolny czas, łupiąc w karty i urządzając konkursy: kto więcej wypije.

W kręgu światła wiszącego wokół latarni szalały ćmy. Czerwcowa noc kładła się miękko na nieruchomych gałęziach drzew. Z daleka, jakby z innego świata, wypłynął przytłumiony, jednostajny łoskot pędzącego pociągu. Szymon delikatnym ruchem ułamał cieniutką gałązkę bzu. Bawił się nią, wodząc pachnącą, białą kiścią po swej twarzy. Nikodem był bardziej niespokojny.

— To bardzo długo trwa — powiedział nieopanowanym głosem.

Popatrzyli prawie jednocześnie w kierunku domu. Tylko w jednym oknie paliło się światło. Żółta, kwadratowa plama wyglądała z tej odległości jak wybity w zmierzchu otwór. Szymon w dalszym ciągu trzymał gałązkę przy twarzy. Obgryzał teraz pąki bzu i wypluwał je pod nogi. Nagle światło w oknie zgasło. Usłyszeli szybki tupot nóg. Nikodem odetchnął z ulgą.

Ci dwaj, którzy teraz nadeszli, minęli ich bez słowa. Doszli w kierunku łąki, a później zatoczyli wielki łuk i wracali do miasta. Szymon i Nikodem szli za nimi.

— Udało się — powiedział Nikodem. Ale Szymon milczał. Wsadził ręce do kieszeni i maszerował długimi krokami kołysząc się ciężko z nogi na nogę.

Idący na przodzie zatrzymali się. To już było miasto. Ulicą przejechał prawie pusty tramwaj. Spokój tej usypiającej już ulicy wydał im się teraz, po tamtej godzinnej ciszy, gwarem milionowego miasta.

— Nie znaleźliśmy pudełka — powiedział wolno, flegmatycznie, jeden z tych, którzy szli przodem. — Coś ci się poplątało we łbie.

— Mogliście starego przycisnąć — odpowiedział Szymon.

— Nie mogliśmy. Zenek go kropnął za mocno na wstępie. Facet ani zipnął.

— A forsa? — przestraszył się Szymon.

— Forsa jest.

— Ile? — zapytał Nikodem. Po raz pierwszy od godziny mówił spokojnym głosem.

— Nie miał kto policzyć, kasjer zachorował — próbował żartować tamten.

— Ile? — powiedział tym samym tonem Nikodem.

— Zdaje się, że siedem — padła odpowiedź. Szymon aż podskoczył.

— Słuchaj, stary, ty nie myśl, że teraz, jak już masz pieniądze w garści, to ty jesteś wielki król. Ja wiem najlepiej, ile tam mogło być.

— No ile?

— Było dziesięć. Mogło być więcej. Mniej na pewno nie.

Umilkli. Minęło ich kilka osób. Jakaś kobieta obejrzała się za nimi.

— Chodźcie do „Turystycznej" — zaproponował Nikodem. — Obgadamy sprawę do końca.

Knajpa była prawie pusta. Przy jednym stoliku jakiś blady młodzieniec jadł pospiesznie parującą golonkę, przy drugim próbowało dyskutować na jakieś ważkie tematy trzech chwiejących się facetów. Usiedli w samym kącie. Szklany blat stołu był mokry.

(Dokończenie na str. 6)

*) Z tomu opowiadań „Powrót do piekła".

Zamiast recenzji z „Dybuka"

ANNA TATARKIEWICZ

Jakim w niego samego wieczność go przemienia

(Mallarmé)

ROLA Teatru Żydowskiego w Polsce i zadania, jakie przed nim stoją, są bardzo specjalne, może jedyne w historii sceny. Właściwą widownią Teatru jest nieliczna garść ludzi ocalałych z zaginionego świata; misją Teatru — przynajmniej jeśli chodzi o takie spektakle jak „Dybuk" — utrwalenie w oczach i pamięci pozostałych tego wszystkiego, co odeszło i nie powróci, jest także wzniesienie zaginionemu światu jedynego w swoim rodzaju pomnika — z słów, z gestów, z ulotnej scenicznej magii. I dlatego (nie tylko zaś dlatego, że nie znam języka spektaklu ani też nie miałam możności zapoznać się z pełnym tekstem sztuki w przekładzie) — trudno by mi było napisać zwykłą recenzję z przedstawienia, do którego nie podobna chyba przykładać normalnych kryteriów, stosowanych w takich razach.

Tytuł sztuki nawiązuje do starej żydowskiej legendy, że dusza człowieka zmarłego przedwcześnie może wcielić się w inne, żyjące ludzkie ciało. Rzecz dzieje się w jakimś małym miasteczku, jakich wiele było dawnymi laty w Polsce czy w Rosji. Dwoje ludzi zobowiązuje się połączyć węzłem małżeńskim swe (nienarodzone jeszcze) dzieci, jeśli okażą się one płci odmiennej. Istotnie rodzi się chłopiec — Chonon i dziewczynka — Lea. Ale ojciec chłopca ubożeje i osieroca syna w nędzy; ojciec dziewczyny porasta w bogactwa. Gdy przychodzi pora, bogacz Sender ani myśli o dotrzymaniu danego słowa. wybiera dla córki stosowniejszą partię. A młodzi kochali się. Chonon umiera z rozpaczy, tchnąc miłością i żądzą odwetu. Lea z ciężkim sercem gotuje się do ślubu. A w chwili, gdy ma się dopełnić obrzęd, Lea nieswoją siłą i nieswoim głosem odtrąca narzeczonego: w ciało jej wstąpiła dusza zmarłego Chonona. Ojciec szuka pomocy u świętobliwego mędrca, cadyka. Cadyk usiłuje wyjaśnić sprawę, odbywa sąd nad wiarołomnym Senderem, po czym mocą perswazji wypędza ducha z ciała Lei. Ale dziewczyna, wyzwolona od Dybuka — umiera radośnie, wiedząc, że na innym świecie połączy się z ukochanym, dotrzymując umowy. Sprawiedliwości i miłości staje się zadość.

Chagall — Modlący się Żyd

Ta piękna, poetyczna legenda z filozoficznym „drugim dnem" jest jakby literackim odpowiednikiem obrazów Chagalla: to ten sam świat ludzi o ubogim życiu, namiętnych sercach i bogatej wyobraźni, świat ciasnych, brudnych, smutnych uliczek, nad którymi unoszą się sny-mary i kolorowe widzenia-marzenia.

Ten świat odtworzony został przez artystów Teatru Żydowskiego z wielkim pietyzmem, z wielką troską o autentyzm każdego szczegółu, stroju, rekwizytów, obrzędów, atmosfery obyczajowej. I to jest zrozumiałe: większość ludzi, wznosząc pomnik ukochanej a utraconej osobie, chce odnaleźć na nim jej rysy w możliwie wiernym, „realistycznym" wizerunku. Niejeden dowód tego mieliśmy w dyskusjach nad pomnikami naszych narodowych tragedii.

Do autentycznego i z tej racji mało „nowoczesnego" charakteru oprawy stosuje się styl gry, której konwencjonalność polega nie na dystansie i uproszczeniu, ale raczej na pewnej amplifikacji, przerysowaniu form, jakby dla tym mocniejszego wrażenia ich w pamięć. W ramach przyjętej konwencji artyści Teatru Żydowskiego zaprezentowali swe niemałe możliwości: oczywiście trudno ocenić grę, a zwłaszcza interpretację głosową, bez znajomości języka, ale nie trzeba znajomości tej, by odczuć fibrami znakomite aktorstwo Abrahama Morewskiego w roli iście rembrandtowskiego cadyka, by nie pozostać obojętnym na wdzięk i dużą skalę ekspresji Ruth Kamińskiej - Lei, by dojrzeć rzetelną robotę całego zespołu.

A swoją drogą „Dybuk" wydaje się sztuką tak interesującą, że warto, by pokusił się o jej wystawienie teatr zwykłego typu, wolny od obowiązków synowskiego pietyzmu i dosłownej wierności. Marzy mi się inscenizacja „Dybuka" z powiększonym Chagallem w tle, cała zanurzona w atmosferze mroczno-barwnej nierzeczywistości. Zaginiony świat — jakim w niego samego Chagall go przemienił.

JONASZ I BŁAZEN

ANNA TATARKIEWICZ

Wszystko na świecie jest kalamburem: równie trudno jest zrozumieć spojrzenie czteroletniego dziecka, jak bogos hulajski trzech nowoczesnych dramatów.

(Musset: Fantazjo")

W kwietniowym numerze „Dialogu" opublikowano dyskusję na temat komedii. Dyskutujący zastanawiali się nad anemią komedii w Polsce: przy okazji doszli do wniosku, że Dürenmatt jest albo będzie najwybitniejszym komediopisarzem współczesnym. Osobiście nie wątpię, że Dürrenmatt jest bardzo wybitnym dramaturgiem, mam natomiast wątpliwości, czy można go nazwać komediopisarzem. Więcej — czy w ogóle można dziś mówić o komedii inaczej niż w trybie historycznym. Tradycyjny podział na komedię i tragedię zakłada pewne jednoznaczne widzenie świata, świata absolutnych wartości, jednoznacznych racji i jednoznacznych postaw. Komedia — to śmiech z tego, kto nie ma racji; tragedia — to lament nad porażką tego, kto ma rację. Współcześni jednoznacznie przyjmowali (tak wieloznaczną dla nas) komedię Moliera; dla nich Alcest był postacią tylko śmieszną, dopiero preromantycy dojrzeli w mizantropie postać tragiczną. Romantyczna weryfikacja pojęć prowadzi do nowej, pośredniej formy scenicznej: dramatu. „Fantazego" czy „Fantazja" z nawyku tylko opatrujemy tradycyjną etykietą „komedii", która przystaje do nich bardzo niedokładnie. W dramacie romantycznym racje pozostają jeszcze jednoznaczne, ale przestają być jednoznacznymi postawy: jest zło i dobro, prawda i kłamstwo, ale człowiek może być jednocześnie zły i dobry, szczery i kłamliwy. Fantazjo Musseta jest na poły błaznem, na poły mędrcem i bohaterem, ale zarówno dla niego jak dla samego Musseta istnieje pewna racja absolutna, godna ostatecznych poświęceń — miłość. Fantazjo gotów jest sam zginąć i posłać na śmierć innych, byle królewna Elżbieta mogła kiedyś pójść za głosem serca.

Nasza epoka posunęła się dalej, podając w wątpliwość samo istnienie jakichkolwiek absolutnych wartości, a tym samym — absolutnych, jednoznacznych racji. Jan Kott słusznie chyba widzi centralny intelektualno-moralny problem wieku w uświadomieniu sobie sprzeczności między jednoznacznością czynów a wieloznacznością racji.

We współczesnym świecie wieloznacznych racji ostatecznie traci sens dawny podział i dawna nomenklatura gatunków scenicznych. To, co było genialnym marginesem u Szekspira, urasta do rangi naczelnego tematu:

Nudny i krótki dialog Pyrama
z kochanką Tizbe, śmieszny i tragiczny.

W podtytułach sztuk współczesnych pojawiają się takie określenia, jak komedia tragiczna czy tragifarsa, i określenia te w istocie odpowiadają charakterowi utworów.

Broszkiewicz nie opatrzył swego „Jonasza i Błazna" żadnym podtytułem, ale pasowałoby tu chyba najlepiej: groteska dramatyczna czy dramat groteskowy. Zresztą wybór podtytułu nie jest jedynym wolnym wyborem, jaki autor pozostawia odbiorcom. Sztuka jest pełna niedopowiedzeń, pozostawiających pole dla bardzo różnych interpretacji tej historyjki, która od strony fabuły przedstawia się mniej więcej tak:

Na dwór Króla Filona i Królowej Laury ma przybyć znakomity filozof - myśliciel, profesor Jonasz. Pomysł zaproszenia Jonasza wyszedł od Królowej, która przy okazji jego wizyty ma nadzieję zaspokoić zarówno swe pretensje intelektualne, jak apetyty wcale nieintelektualne. Sama zapowiedź znakomitej wizyty wywołuje na dworze niezdrowe poruszenie; wszystkie panie są rozkosznie podniecone i zrywają w czambuł z dotychczasowymi wielbicielami, by mieć wolną rękę wobec profesora; wszyscy panowie — z królem na czele — czują się zagrożeni w swej pozycji i stanie posiadania. W tej sytuacji błazen pałacowy podsuwa prosty pomysł podratowania słabnącego męsko-królewskiego prestiżu: otóż w czasie bankietu ku czci gościa przybędzie rzekomy poseł Napoleona, ze sfingowaną notą, domagającą się ekstradycji Jonasza, który dawniej jeszcze naraził się zarówno Napoleonowi jak Soborowi Trydenckiemu. Wobec tego żądania król, premier i inni zainteresowani przyjmą postawę pełną godności, odmawiając wydania profesora, i dzięki tej niewinnej komedyjce „na użytek wewnętrzny" odzyskają szacunek i serca swych dam. Pomysł zostaje zrealizowany, wszystko idzie jak z płatka, bohaterscy „obrońcy ducha" budzą swą postawą powszechny podziw niewtajemniczonych, gdy nagle nadchodzi prawdziwa nota od prawdziwego Napoleona, który istotnie wyraża swe niezadowolenie z bytności Jonasza na dworze Filona. Na wszystkich pada blady strach, dostojnicy wzajemnie zrzucają na siebie winę, ostatecznie dworskie hierarchie uzgadniają, że winien jest Błazen i że to on musi po cichu usunąć powód niezadowolenia, to znaczy Jonasza. Błazen, już zbrojny w rewolwer, odbywa ostateczną rozmowę z profesorem, który ze spokojem i rękoma skrzyżowanymi na piersi szykuje się na śmierć. Ale na widok jego zachowania Błazen buntuje się — nie chce, by profesor przeszedł do historii jako bohater, a on — jako świnia. I oto świta mu inne wyjście: szybkim ruchem przywdziewa profesorowi swój błazeński strój, tłumacząc, że w tym przebraniu będzie mógł na dworze Filona spokojnie kontynuować swe studia. Profesor, postawiony w błazeńskiej sytuacji, zaczyna zachowywać się stosownie do niej, to znaczy po błazeńsku, wszyscy pozostali są zachwyceni zniknięciem Jonasza (którego nie poznają pod maską trefnisia), a Błazen w nowej postaci zyskuje względy Subretki, która poprzednio nie chciała na niego patrzeć.

Sztuka w metaforyczności swej i umowności jest pełna niedopowiedzeń, stąd możliwość wspomnianych już kilku interpretacji. Co do mnie widzę ich cztery:

Interpretacja I
naiwno-optymistyczna:

Błazen i Profesor, Artysta i Myśliciel, reprezentują świat realnych wartości, przeciwstawiony światowi kłamnych pozorów. Z konfliktu, jaki wynika między tymi dwoma światami, jest wyjście — na drodze kompromisu: Profesor za cenę przywdziania maski błazeńskiej i małych wyrzeczeń (Agata!) zdobywa bezpieczeństwo i możliwość dalszych badań nad „systematyką wyobrażeń"; Błazen — w zamian za utratę ciepłej synekury — odzyskuje „twarz" i zdobywa miłość. Wszystko jest prawie najlepiej na tym prawie najlepszym ze światów.

Interpretacja II
jeszcze otymistyczna:

Jedynym autentycznym człowiekiem jest Błazen. Artysta i Mędrzec w jednej osobie, Jonasz w swej profesorskiej dostojności jest takim samym zakłamanym pozerem jak wszyscy pozostali, tylko w lepszym, mniej prowincjonalnym wydaniu, tak że na stanowisku błazna będzie wcale na miejscu. Błazen, zrywając z operetkowym światem pozorów, odzyskuje wolność, „twarz" i zyskuje uczucia, na których mu zależy.

Interpretacja III
naiwno-pesymistyczna

Wszyscy są, a raczej wszyscy jesteśmy błaznami, profesor ze swoją filozofią zarówno jak Błazen ze swymi skrupułami; profesor jest wymarzonym kandydatem na etat Błazna, nie ma nic lepszego do roboty, jak powtórnie utracić odzyskaną „twarz" i wolność, związując się z idiotką; rodzaj maski zależy jedynie od sytuacji, w jakiej się znajdujemy.

Interpretacja IV
pesymistyczno - „gombrowiczowska"

Sytuacja w „Jonaszu i Błaźnie" jest niejako odwróceniem sytuacji w „Iwonie". Jonasz nie istnieje, podobnie jak nie istnieje Iwona (interpretacja Falkiewicza z „Dialogu"). Jak Iwona ucieleśnia pustkę wewnętrzną Księcia, tak Jonasz uosabia poczucie wyższości intelektualnej Błazna w stosunku do Dworu. Wyższość Błazna, przyjęta początkowo jako kawał, staje się dla Dworu realnym zagrożeniem. Błazen-winowajca musi sam zlikwidować istniejącą sytuację. W momencie decydującym uświadamia sobie, że jego wyższość intelektualna jest także odmianą błazeństwa, dzięki tej świadomości sam odzyskuje błazeńską jednoznaczność, przywraca powszechne dobre samopoczucie i zamąconą harmonię.

Niezależnie od takiej czy innej interpretacji sztuka Broszkiewicza przemawia, a przynajmniej może przemawiać (o tym potem) satyrycznymi prawdami o „państwie nie wielkim, ale także i nie małym", jego akwizgrańskich tradycjach, bohaterach, tudzież innych mitach, przemawia dowcipem aluzji i komizmem groteskowych postaci i sytuacji. Te wszystkie momenty zostały w lubelskim przedstawieniu wnikliwie odczytane i ubrane w celny kształt sceniczny. Maria Straszewska dała spektakl w trafnym i jednolitym stylu groteski intelektualnej, wzmagając komizm tekstu szeregiem pomysłów inteligentnych i zabawnych. Dla przykładu wspomnę o wyposażeniu króla w gwizdek do wzywania policji, o doskonale rozwiązanej scenie zerwania Hrabiny z Premierem (scena z hula-hop i „nimi-nimi-nimi-nimi"), o zastąpieniu osoby posła — napoleońskim kapeluszem. Chciałabym natomiast podyskutować z reżyserem na temat „ustawienia" postaci Jonasza oraz zakończenia sztuki, które jest w przedstawieniu nie tylko wieloznaczne (to sprawa tekstu), ale i mało czytelne.

Nie jest to moja subiektywna opinia. Byłam świadkiem dyskusji o „Jonaszu i Błaźnie", prowadzonej w gronie działaczy kulturalnych, przeważnie nauczycieli z „terenu". Dyskutujący z dużą precyzją szczegółów ustalili zasadniczą treść sztuki, ale ani jedna osoba z kilkunastu obecnych nie potrafiła powiedzieć, jak się właściwie sztuka kończy. Czytelność można by zresztą uzyskać niewielkim retuszem, gorzej, że trudno także zorientować się, jak należy w ujęciu p. Straszewskiej rozumieć finał „Jonasza i Błazna". Mam wrażenie, że interpretacja reżysera pokrywa się mniej więcej z moją II „jeszcze optymistyczną", gdy błazen urasta niemal na „pozytywnego bohatera", ale w takim razie należało potraktować Jonasza od początku z pewną rezerwą, bo przy obecnym ujęciu jego nagła metamorfoza nie jest dostatecznie przygotowana ani umotywowana rysunkiem postaci. Osobiście widziałabym Jonasza jako starszego, dystyngowanego pana w czarnym wizytowym ubraniu, pełnego pozornej „autentyczności", z dyskretnie tylko zaznaczonymi aluzjami do wewnętrznego kabotyństwa. Tak jak go ujrzeliśmy na lubelskiej scenie, Jonasz nie tylko „kładzie" sens zakończenia, ale na dobitek jest scenicznie i dramaturgicznie — miejscem pustym.

Sztuka Broszkiewicza znalazła w Lublinie grono dobrych, a nawet bardzo dobrych wykonawców. Pierwszeństwo przyznać należy Zbigniewowi Romanowi, który zarysował postać Króla z wielką konsekwencją, wyrazistością i finezją, subtelnie dobywając jego głupotę, tchórzostwo, żałosną bezradność a zarazem okrucieństwo (znakomita zmiana tonu, przy okrzyku „zrozumiano", którym Filon popycha Błazna do skrytobójstwa). W tej roli Roman reprezentował dość nieoczekiwanie na tle jego dotychczasowego repertuaru duży talent charakterystyczny, zasługujący na dalszą „eksploatację". Godnie sekunduje mu Dorota Dworzyńska, wyposażając postać Królowej, tej „kobiety czterdziestoletniej" z pretensjami do intelektu, w roztropność, zmysłowość, szczyptę perfidii i niemało wdzięku. Z przyjemnością obserwujemy wzbogacenie się warsztatu aktorskiego Włodzimierza Wiszniewskiego, który w lubelskich oczach stawiał niemal pierwsze kroki sceniczne; jego Minister, jakkolwiek dosadny, nie wychodzi z ram groteski, jest w miarę głupi, w miarę sprytny i podły, może trochę za mało namaszczony. Czołowa rola Błazna przypadła Lechowi Skolimowskiemu; artysta dał tej postaci kształt emocjonalno-dramatyczny, a nie intelektualno-groteskowy, którego należałoby tu raczej oczekiwać; jest błaznem z dramatu Byrona (co prawda, o ile mnie pamięć nie zawodzi, w żadnym dramacie Byrona błazen nie występuje), gdy tymczasem jesteśmy w świecie post-gomborowiczowskim. Osobiście widziałabym jako najbardziej powołanego kandydata do tej roli Balcerzaka, którego jakoś nie możemy się doczekać w sztuce współczesnej. W ramach koncepcji reżyserskiej doskonale wywiązują się ze swych zadań: Andrzej Chmielarczyk, dając soczystą wersję żołnierza-samochwała zaleszczyckiej szosy, oraz Adela Zgrzybłowska jako Hrabianka Barbara, bardzo śmieszna, acz z woli reżysera i scenografa trochę już za bardzo poszkodowana na urodzie i wymowie. Teresa Lassota, dobra w sylwetce pałacowego wampa i w scenie zerwania, wykracza z przyjętej konwencji w kierunku dramatu. Macierzyńsko-sentymentalno-agresywną Pastunkę zagrała zabawnie Maria Kaczkowska, trochę sztywno partnerował jej Henryk Gońda — Zenobiusz. Umysłowość i obyczaje Agenta oddał trafnie Marian Drozdowski, wdzięki kociaka reprezentowała z powodzeniem Teresa Wicińska — Subretka.

Jednym z głównych bohaterów spektaklu jest niewątpliwie Janusz Warpechowski, autor bardzo udanej oprawy plastycznej. Projektowane przez niego kostiumy dowcipnie podkreślają umowność sztuki oraz charakter postaci, a jako barwne plamy komponują się z czarną płachtą tła w malowniczy obraz o stylu jednolicie nowoczesnym. Brawo, brawo!

Szkoda, że publiczność, poza premierą, bardzo słabo reaguje na sztukę, dając dowód, że trzeba koniecznie znaleźć jakieś sposoby zbliżenia naszych widzów do bardziej nowoczesnych form dramatycznych. Przypominamy, że „Kamena" nie od dziś upomina się o Teatr Słowa.

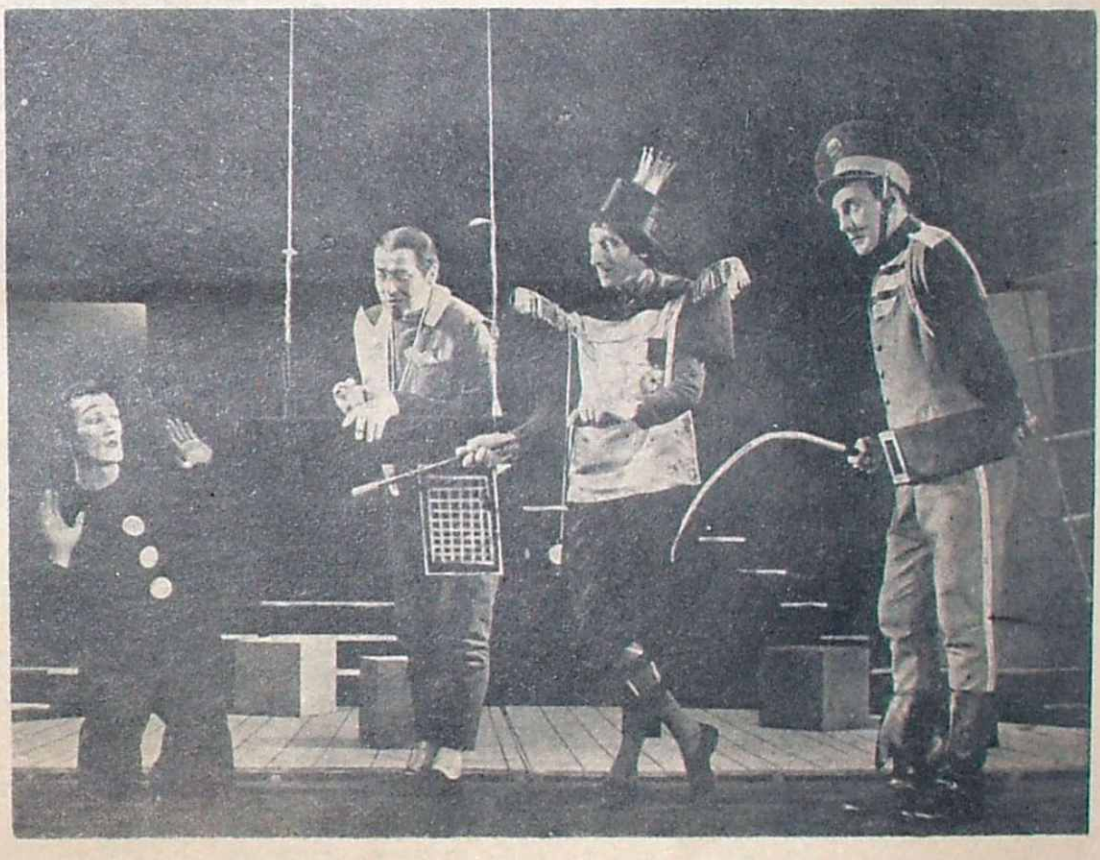

Lech Skolimowski (Błazen), Włodzimierz Wiszniewski (Minister), Zbigniew Roman (Król Filon), Andrzej Chmielarczyk (Adiutant).

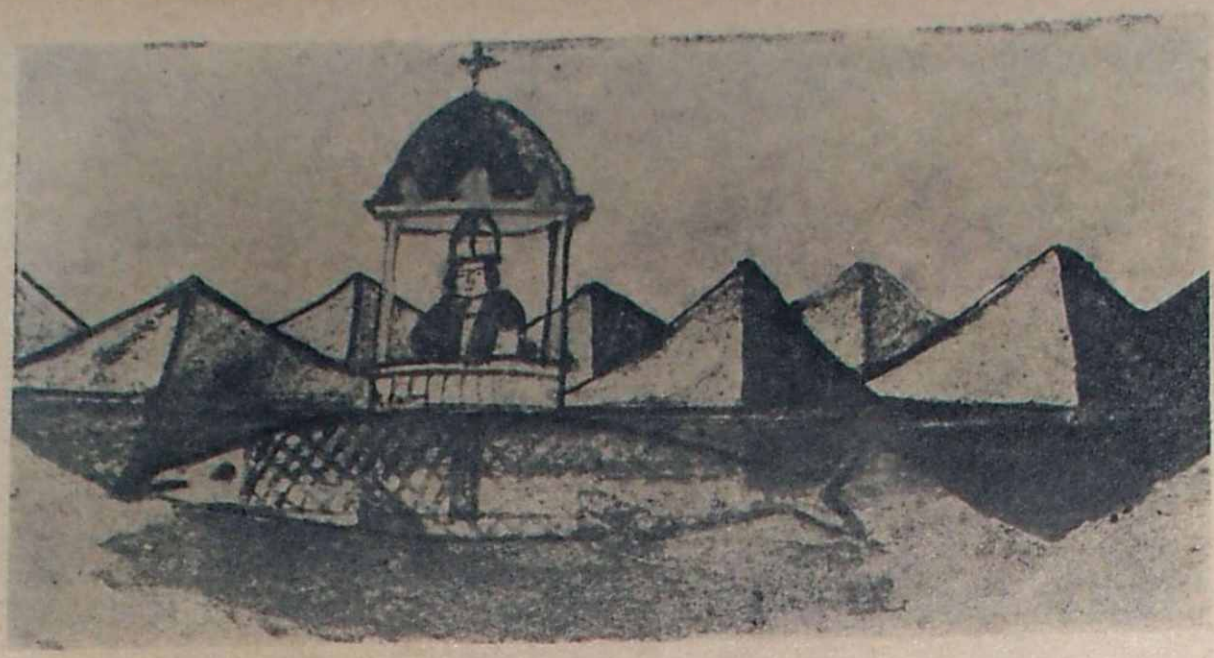

Ze zbiorów J. Stadnickiego w Krynicy

POZNAŁEM NIKIFORA MATEJKĘ...

MIROSŁAW DERECKI

Na poszukiwanie Nikifora wyruszyłem jeszcze w Lublinie. Konkretnie, chodziło mi o wydostanie, choćby spod ziemi, książki Andrzeja Banacha „Nikifor", aby spotkawszy mistrza być już jako tako zorientowanym.

Niestety, ziemia zazdrośnie strzeże swych skarbów. Musiałem więc chcąc nie chcąc zadowolić się ustną relacją kolegów, którzy książkę czytali, wysłuchaniem kilku wykładów na temat twórczości Nikifora i ponownym przeczytaniem artykułów w czasopismach. Mimo to pozostałem laikiem.

*

W Krynicy, prosto z autobusu, ruszyłem na miejsce, w którym Nikifor podobno maluje. Niestety, nie było go tam. Następnego dnia historia się powtórzyła. Może w ogóle nie ma go w mieście, a może ze względu na martwy sezon i Nikifor zrobił przerwę...

Byłem zrozpaczony. Nie znam miasta, noc nadchodzi, pieniądze na wyczerpaniu. Tragedia.

Na szczęście przypomniał mi się rewelacyjny kapitan Kostrzewa, którego metodami raczy nas codziennie „Kurier Lubelski". Postanowiłem wpaść na ślad, i jak zaleca Kostecki, trzymać się go konsekwentnie.

Po wypiciu szklanki aromatycznej herbaty (metoda Kostrzewy) zacząłem węszyć.

Szczęście wdocznie sprzyjało mi. Od kelnerki dowiedziałem się, że Nikifor w Krynicy jest i że widziała go kilkakrotnie wchodzącego do Starego Domu Zdrojowego.

*

Portier w Domu Zdrojowym wita mnie sakramentalnym: „Pan... czego?" —

„Tutaj bywa Nikifor" — stwierdzam groźnie. Portier mięknie.

„Teraz go nie ma, ale jak chce go pan spotkać, to niech pan idzie do niego do domu. Mieszka na Granicy. To będzie koło szkoły, jak się kończy Krynica Zdrój a zaczyna Krynica Wieś". Mam więc pierwszy ślad.

*

Fryzjer, u którego się golę, jest bardzo rozmowny. Postanawiam to wykorzystać dla swoich celów.

Stosuję znany chwyt psychologiczny. „Ale ten wasz Nikifor to robi dobrą forsę, co?"

Ryba gładko połyka haczyk. „Panie, pieniędzy to on ma jak lodu. I po co mu to? On do tego nie przyzwyczajony". — „No... tego..." — mówię z powątpiewaniem. „A tak", zapala się fryzjer, „nie przyzwyczajony... Jego matka to była głuchoniema, bieda była u nich aż trzeszczało. On miał rodzeństwo, to jak raz, zimą to było, matka przychodzi wieczorem do domu, a jedno dziecko zamarzło na śmierć...

A wiesz pan jakie on sobie nazwisko przybrał? M a t e j k o!

Jak ja byłem jeszcze młodym chłopakiem, to Nikifor krowy wtedy pasał, miał dużo czasu, to malował i malował na czym się dało. To my, jak to chłopaki, latałiśmy za nim i przezywali: Matejko! Matejko! I on z tego... Pomyśl pan! Matejko to był malarz! Całą Polskę malował...!"

Fryzjer jest wyraźnie oburzony. Ręce zaczynają trząść mu się niebezpiecznie. Szybko skierowuję rozmowę na inne tory.

*

Na miłej kawie u państwa S., których poznałem w Krynicy, staram się rozmowę sprowadzić na Nikifora. Gospodarz okazuje się starym, dobrym znajomym Nikifora, zresztą modny i aktualny temat, ma pokaźny zbiór jego prac oraz jeszcze więcej ciekawych wiadomości o samym artyście.

„Nikifor — opowiada pan S. — ma wielkie poczucie godności. Zna mnie od kilku lat. Nie zdarzyło się jednak nigdy, żeby podszedł do mnie albo do kogokolwiek z mojej rodziny i poprosił o wsparcie. Znajomi, to dla niego właśnie tylko znajomi, nie wolno ich wykorzystywać, trzeba im nawet w miarę możności pomagać, trzeba ich chronić przed zbytnią natarczywością bliźnich. Kiedyś, gdy Nikifor był u mnie na herbacie, weszła stara żebraczka i poprosiła o jałmużnę. Nikifor zerwał się oburzony, zaczął krzyczeć: ...nie wolno... nie pozwalam... milicja...! W jego towarzystwie nikt nie ma prawa mnie wykorzystywać.

Innym razem, wieczorem, wpada do mnie podenerwowany, ciągnie na ulicę tłumacząc: ...prędko... ukradną... złodzieje... prędko! Okazało się, że zostawiłem na ulicy skuter; Nikifor przechodząc zauważył to i... przybiegł mnie ostrzec".

Z czego żyje? Ze Związku Głuchoniemych otrzymuje około sześciuset złotych renty, przysyłanej na ręce nauczyciela pobliskiej szkoły. Podobno trochę ma ze Związku Plastyków. Nauczyciel część z tego wypłaca gospodarzom, u których Nikifor mieszka i stołuje się, resztę oddaje jemu samemu. Pewien dochód ma Nikifor ze sprzedaży obrazków i otrzymywanych datków. Natomiast ciekawy i oburzający zarazem jest fakt zupełnego braku zainteresowania ze strony władz miejskich człowiekiem, którego obrazy znalazły się na wystawie w Paryżu i którego osoba, bądźmy szczerzy, w dużej mierze zwiększa atrakcyjność Krynicy.

Oglądam zbiory pana S. Jest on w posiadaniu licznych „nikiforów". Uwagę moją przykuwają szczególnie dwa obrazki. Jeden, bardzo ciekawy w pomyśle, przedstawia ogromną rybę, na której grzbiecie znajduje się coś w rodzaju kapliczki, drugi — to rysunek nagiej kobiety z łabędziem. „Leda" — objaśnia pan S. „Jest to pewnego rodzaju curiosum, bo Nikifor nigdy nie rysuje aktów. Jest prostym chłopem i brzydzi się nagością. Kiedyś zobaczył na moim biurku figurkę Ledy, zainteresował się nią, a ja poprosiłem go, żeby ją narysował. Wie pan co? — mówi nagle pan domu — może byśmy się wybrali razem do Nikifora, ja też chciałbym zobaczyć, jak mieszka?"

Z trudem pakuję się do mikroskopijnej przyczepki Lambretty i po chwili pędzimy na Granicę. Pierwszy napotkany dzieciak wskazuje nam drewniany zielony domek. To właśnie tutaj.

Sień, białe drzwi z trójkolorową chorągiewką i pieczęć — Artysta malarz Nikifor — swojego rodzaju wizytówka. Nikifor jest w domu. Wchodzimy. Na środku pokoju stoi dość schludnie ubrany starszy jegomość. Wyciąga rękę na powitanie.

Sprawia wrażenie „człowieka nie z tego świata" przez jakieś niezwykle oderwanie się od rzeczywistości, powolność ruchów i pedanterię, jaka cechuje każdą jego czynność.

Mówi dość monotonnym głosem, widać, że ciężko mu wypowiadać słowa — wygląda to trochę jakby się jąkał. Ale wsłuchawszy się dobrze rozróżniam poszczególne wyrazy i rozumiem sens zdania. Nie można tylko pozwalać mu na dłuższe tyrady, bo lubi przeskakiwać z tematu na temat i wtedy zaczyna coraz bardziej bełkotać.

Nikifor jest niezwykle rozmowny i lubi, kiedy ktoś uważnie słucha. Zauważyłem, że rozumie prawie wszystko, tylko trzeba mówić głośno i jakoś bardzo skrótowo. W taki sposób jak do staruszki, która już porządnie nie dosłyszy.

Nikifor jest zadowolony z naszych odwiedzin, krząta się po pokoju, szuka czegoś w szafie. Rozgląda się wokoło. Czysta, bielona izba, normalnie spotykane sprzęty domowe. Jestem przyjemnie zaskoczony. Nie wiem dlaczego, zawsze wyobrażałem sobie, że to mieszkanie będzie okropną norą. Pod ścianą stoi malowana skrzynia z koślawym napisem: NETYTOR MALARZ NAROK 1946. Oczywiście „Nikifor malarz 1946 r.". Błędy stąd, że malarz podobno raczej rysuje niektóre znane wyrazy, niż układa je z liter. Nikifor wyjaśnia, że podpisał skrzynię na wypadek kradzieży. Gdyby złodziei złapano, od razu wiadomo by było czyja to własność. Nad skrzynią wisi okropna papierowa makatka — czerwone róże w wazonie. Mówimy: „To brzydkie! Trzeba wyrzucić! Trzeba wieszać swoje obrazki! Ładniejsze!" Nikifor uśmiecha się i odpowiada: ...róże czerwone.. pachną....

Ciekawe, że Nikifor, w którego twóczości tak często przewijają się motywy religijne, nie ozdobił ścian przedmiotami kultu typowymi dla izb wiejskich.

Mistrz uporał się wreszcie z szafą i bardzo zaaferowany rozkłada przed nami przedmiot swoich poszukiwań, coś, czym chciał się przed nami pochwalić. Są to stare, z końca XIX czy początku XX wieku, zeszyty Monographie de bâtiments modernes. Jest zadowolony i podniecony. Z uwagą wodzi palcem po planach budynków, opowiada, że znalazł to wysoko... wysoko... za szafą... i że nie można zrozumieć napisów, bo to „po rusku". „Po francusku" — poprawiamy. — „Po francusku" — godzi się obojętnie Nikifor, a po tym nagle dodaje: „Paryż... wystawa..." W czasie tej rozmowy wyraźnie czegoś szuka w zeszytach. Wreszcie znajduje. Jest to miedzioryt, przedstawiający Palais de Justice w Meaux. Nikifor wyciąga teraz z kasety dokładną kopię wykonaną przez siebie i mówi z dumą: „...takie same...".

Tłumaczymy, że trzeba malować po swojemu, że tak lepiej. Nikifor słucha przez chwilę z uwagą, a potem kiwa głową i mówi szybko, wskazując na zeszyty: „...do Krakowa... odeślę do Krakowa..."

Tak więc Nikifor zaczyna się powoli „cywilizować", co odbija się ujemnie na jego twórczości. Może zresztą się mylę. Oby...

Oglądając jeszcze raz pokój, dostrzegam porozrzucane na oknie pieczątki. Jest ich tak dużo i są tak różnorodne, że w pierwszej chwili myślę, że Nikifor po prostu kolekcjonuje jakieś stare, niepotrzebne pieczęcie. Okazuje się jednak, że nie. Nikifor ma ni mniej ni więcej tylko dziewięć własnych, „zawodowych", pieczątek różnego kształtu i wielkości, niektóre są tak wielkie, że nie powstydziłby się ich średniowieczny władca. Na jednych znajduje się wizerunek samego mistrza, na innych tylko napisy: Nikifor Matejko — artysta malarz, Mistrz Nikifor z Krynicy, Pamiątka z Krynicy — Nikifor Matejko itp. Widząc moje zainteresowanie, artysta rozjaśnia się na dobre i z wielką powagą a jednocześnie wprawą starego urzędnika przykłada je w moim notatniku.

Czujemy się już u niego zupełnie dobrze, lody zostały przełamane. Wyciągam papierosy, ale Nikifor odmawia i nam też nie pozwala palić. On pali tylko Mentolowe, a poza tym w pokoju palić nie wolno, bo robi się duszno, a to szkodzi mu na płuca. Nikifor ma otwartą gruźlicę i ze szpitala wypuszczono go tylko ze względu na nostalgię, która ogarnęła go po wyjeździe z Krynicy i powodowała coraz gorsze samopoczucie.

Zaczynamy się żegnać, lecz Nikifor jeszcze nas zatrzymuje. Otwiera dolną szufladę szafy. Jest cała zapełniona

→

Powrót do piekła

(Dokończenie ze str. 4)

Kelner wycierał go teraz malutką jak chusteczka do nosa szmatką.

— Kolacyjka? — zapytał, nie przerywając czyszczenia.

— Nie. Pół metra i coś na ząb.

— Kolacyjkę już jedliśmy — dodał Nikodem.

Kelner uśmiechnął się głupkowato. Odszedł.

Pochylili się teraz nad kwadratem stołu.

— No, więc ile było? zapytał Szymon.

— Mówiłem. Coś koło siedmiu.

Szymon wziął białą, papierową serwetkę i zaczął ją powoli ugniatać w kulkę. Tamten skorzystał z okazji, aby sprowadzić rozmowę na inne tory. Opowiadał z przejęciem.

— Klucz pasował. Weszliśmy. Stary leżał w łóżku. Czytał książkę. Zenek uwinął się w trzech sekundach. Jak wszedłem było już po wszystkim. Lecimy do biurka, a tego pudełka nie ma.

— Zawsze tam kładł. Czwarta szuflada od dołu, po lewej stronie — przerwał Szymon.

— Zgadza się, ale nie było, ani w trzeciej, ani w czwartej, ani w piątej, ani w żadnej innej.

— Dobrze mu dałeś? — Szymon popatrzył na Zenka.

— Dobrze — powiedział Zenek — chyba za dobrze. — Zenek był najspokojniejszy z nich wszystkich. Nic nie mówił. I zdawało się, że go to wszystko mało interesuje.

— Głupio mi tam będzie wracać — mruknął Szymon. — To jest poczciwy człowiek. Wychowuje mnie, od pięciu lat. Mogłeś go Zenek jakoś lżej...

— Nie umiem lżej — odpowiedział Zenek sennym głosem.

— Żeby on tylko nie zipnął — zaniepokoił się Nikodem.

— Tego by tylko brakowało, kto by mi dawał jeść.

Kelner przyniósł wódkę. Rozlewali w duże, setkowe kieliszki.

— A więc wszystko tak jak było w planie — powiedział Nikodem, podnosząc do góry kieliszek. Wracasz, widzisz leżącego ojczyma, robisz krzyk i lecisz dzwonić na milicję. Milicja spisuje protokół. Pytają się, gdzieś był, mówisz, że byłeś u nas. My poświadczymy.

Przerwał. Wypił jednym haustem.

— Żeby dobrze się rozejrzeć, gdzie on to ostatnio wszystko trzyma, musiałem udać przedwczoraj chorego. Stary poleciał wieczorem po doktora.

— Dobrego masz starego — powiedział z zazdrością Nikodem. — Taki to lepszy od rodzonego ojca.

Ryszard Liskowacki

Z CZASOPISM KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH

Jerzy Putrament, w numerze 21 „Przeglądu Kulturalnego" daje felietonowy wyraz zadowoleniu, jakie wywołała w nim obserwacja tegorocznego kiermaszu książki:

Przez dwa ubiegłe lata zarysowało się wahnięcie ruchu wydawniczego w kierunku szmiry, wątpliwych czasem pozycji politycznych i bardzo obfitej podaży literatury krajów zachodnich. W roku bieżącym to wahnięcie się jakoś zharmonizowało. I szmiry jest w miarę, i Zachodu nie brak, ale bez przesady.

No i tegoroczny uczestnik kiermaszu też się poprawił —

był w innym nastroju niż poprzednio. W lepszym, dużo lepszym.

Jakiej książki szukał przede wszystkim? Po pierwsze — potrzebnej mu (np. wyspecjalizowanych podręczników), po drugie — ciekawej (nie koniecznie szmiry), po trzecie — taniej:

Nie taniochy, ale taniej. Obserwując gromady amatorów nad ladą kiosku kiermaszowego, muszę stwierdzić, że wszyscy bez wyjątku zaczynają wertować książkę od ostatniej strony okładki, ściśle — od jej górnego rogu. I bardzo wielu na tych oględzinach urywa pertraktację.

Ta arcywierna obserwacja świadczy niewątpliwie o poważnych zamiarach uczestników kiermaszu: pragną oni książki własnej. Cały sens kiermaszu — mówi Putrament —

całe to powodzenie jest potężnym pstryczkiem po nosach tych „teoretyków" i „ideologów" podniesienia ceny książek, którzy odważyli się twierdzić, że nie koniecznie książkę się kupuje, że można ją i wypożyczać.

Jaka jest ta kultura kupowanej książki? — pyta w zakończeniu Jerzy Putrament i odpowiada:

Oczywiście, kultura socjalistyczna. Nie widzieliście może o tym? To się zdarza. Większość ludzi nie ma pojęcia, że mówi prozą.

Co do Moliera — zgoda. Tylko że proza prozie nie równa. Oby jak najprędzej „przytłaczającą większością" kupujących na kiermaszu książki przestała być „klasyczna inteligencja". Wówczas każdy się przekona, iż mówimy już socjalistyczną prozą.

W związku z tymże kiermaszem Andrzej Braun zwierza się czytelnikom „Nowej Kultury" (nr z dn. 24 bm.) ze swych rozmyślań bynajmniej nie odświętnych. Wywołał je początek cyklu artykułów Adama Ostrowskiego w „Życiu Warszawy" na temat: „Czy kryzys książki". Albowiem dowiedzieliśmy się z kompetentnego źródła, „że przeciętne nakłady beletrystyki spadły wyraźnie, że wydaje się mniej". Zwiększyły się natomiast nakłady innych typów wydawnictw. A więc ogólnego kryzysu książki nie ma, jest „tylko" kryzys czytelnictwa literatury pięknej. Andrzej Braun zastanawia się, czy fakt odchodzenia (w pewnym stopniu) czytelników od beletrystyki w kierunku literatury-informacyjno naukowej

nie jest czasami dowodem jakiegoś zwątpienia ludzi współczesnych w wartość tych syntez i tego uzbrojenia moralno-poznawczego, jakie z beletrystyki dotychczas czerpali. Czy nie ma w tym niechęci do poddawania się sugestii tych maksymalistycznych, zachłannych a ogólnikowych „dekalogów", roszczących sobie prawa do „rządzenia duszami pokoleń", przy jednoczesnym dążeniu do uzbrojenia się poznawczego materiałem ścisłym, bezspornym i zawarowania sobie suwerenności postępowania w oparciu o własne doświadczenie dnia dzisiejszego?

Otóż pamiętam, kiedyś przed wojną trafił mi do rąk pewien francuski kurs korespondencyjny, w skład którego wchodziła m. in. tak zwana „psychologie du commerce". Była tam masa obrzydliwości, ale równocześnie i sporo trafnych, pożytecznych uwag. Przypuszczam, iż psychologię handlu opanowały nasze czynniki wydawnicze we wszystkich jej finezjach. Wobec tego wniosek analityczny Brauna jest zgoła amatorski, a w swej fragmentaryczności — praktycznie jałowy. Nie sama bowiem psychologia czytelnika leży u podstaw naszej polityki wydawniczej.

W cytowanym już numerze „Przeglądu Kulturalnego" Andrzej Kijowski snuje rozważania (jakże słusznie!) nad „Tematem trochę skompromitowanym". Tematem tym jest praca. Pisze Kijowski:

przepadają codziennie miliony złotych. Niszczeją maszyny i urządzenia. Zawodzą instalacje. Nic nie jest na czas, i nic tak jak trzeba. Każdy jest niezadowolony z pracy drugiego. Niewykończone domy są plagą mieszkańców, nieporządni mieszkańcy plagą domów. Jest jakiś upiorny krąg niesolidności i lenistwa. Tworzy się już pewna równowaga: ty mnie tak, to ja ciebie tak. Ty mnie oszukasz, ja ciebie. Tak jest w stosunku człowieka do człowieka, w stosunku jednostki do instytucji. Jest coś w powietrzu, coś niedobrego, coś więcej niż tylko zespół warunków ekonomicznych. Jest to sprawa, która urasta do rozmiarów naczelnego zagadnienia narodowego. Sprawa, która napełnia przerażeniem. Nie wiem czy jest większy i rzeczywistszy temat dnia. O tym mówią absolutnie wszyscy: o nadużyciach, o niedociągnięciach, o oszustwie, o lenistwie, które wyłazi ze wszystkich kątów i które wszyscy czują na sobie. Oczywiście, że to zagadnienie musi wyłonić się w społeczeństwie socjalistycznym, w którym bodziec ekonomiczny jest częściowo zastąpiony bodźcami moralnymi.

A. Kijowski analizuje wszechstronnie przyczyny tego stanu rzeczy, mówiąc m. in. o istnieniu w świadomości Polaków „jakiejś głęboko ukrytej choroby ruin i drutów". Toteż dzisiaj temat pracy znów stoi przed literaturą; temat ten

nie może być rozstrzygnięty ani na płaszczyźnie dydaktycznej, ani na płaszczyźnie metafizycznej. I — na litość — nie może zostać w rękach satyryków, którzy sobie wzięli w pacht ospałych kelnerów, nieuczciwych dyrektorów. Czeka na rozstrzygnięcie na płaszczyźnie psychologicznej. Jest znów katalizatorem, który tym razem ma przyspieszyć osiągnięcie jakiejś nowej, bardzo trudnej afirmacji życia.

W ostatnim numerze „Życia Literackiego", wśród innych ciekawych pozycji, znajdujemy artykuł Bogusława Koguta pt. „Od teorii do praktyki", gdzie autor, po stwierdzeniu na wstępie, iż każda dyskusja teoretyczno-literacka jest w gruncie rzeczy sporem o dyrektywy, mniej lub bardziej normatywne, dochodzi na podstawie bystrych spostrzeżeń do wniosku, że —

wpływ naszych teoretycznych dyskusji na twórczość, zarówno tę „wiodącą" jak i tę drugorzędną, jest raczej znikomy i bardzo trudno uchwytny, natomiast na odcinku polityki kulturalnej wpływ ten jest bardzo znaczny, widoczny gołym okiem. Dzieje się tak zarówno dlatego, że aparat myślowy polityka kulturalnego (nie chodzi tu koniecznie o polityków szczebla kierowniczego) bardziej jest podatny na działanie dyrektywy i bardziej tej dyrektywy potrzebuje niż aparat myślowy twórcy — jak i dlatego, że ludzie czy też instytucje zajmujące się polityką kulturalną mniej mają czasu na wyczekiwanie, czy wreszcie na refleksje i samodzielne dociekania, niż pisarze i artyści. Spór między realistami i „kreacjonistami" może trwać bardzo długo i przebiegać bardzo interesująco — tymczasem politykę kulturalną, politykę wydawniczą czy repertuarową trzeba realizować bieżąco. Dodajmy jeszcze, że po decentralizacji polityki kulturalnej, kiedy to np. odpowiedzialność za repertuar teatrów czy też politykę wydawniczą zeszła w dół, a w każdym razie rozproszyła się mocno — zapotrzebowanie na dyrektywę jest olbrzymie. Że sztuka winna być socjalistyczna, to każdy z odpowiedzialnych w Gdańsku, Poznaniu i Lublinie wie. Ale z kryteriami oceny jest bieda. Czy tylko realizm i optymizm, czy może odrobinę deformacji i pesymizmu nie zaszkodzi?

B. Kogut konkluduje:

Partyjna krytyka i publicystyka winna nie tylko spierać się o me-

(Dokończenie na str. 8)

JAN SKOCZYLAS

(Debiut)

Zamość

Z rumianych firmamentów
opada złoty popiół
w zgaszoną śniedź kopuł,
w ciszę uliczek, zakrętów...
Uroki zakinam w drogą postać
o, miasteczko! prozą i wierszem.
Kto kochać potrafi, może młodym na
zawsze pozostać
i cieszyć się, gdy nad miastem
wschodzą gwiazdy pierwsze.

Deszcz

Brązowe, długie smugi wiklin,
wyżej grusz szereg — kolczasta brona,
a w topolach wiatr zemdlał, kona
smukły kochanek niebios, wiatr
śmigły.
Niebo ciężkie i pełne deszczu
na skośnych wspiera się smugach —
słupach.
Deszcz monotonnie po dachu tupał,
skomlał sierota... Deszczu... mój
wierszu...

STEFAN ZARĘBSKI

*
* *

Zapragnęłaś, żeby jeszcze piękniej:
rozwiesiłem więc girlandy marzeń.
Noc przyjazna była, ciepłą ręką
łagodnie nam gładziła twarze.

Księżyc już wyruszył na przeszpiegi,
z białych skrzydeł srebrne kurze
strzepnął,
a tam gwiazda spadła — też dostrzegłem —
i słuchałem własnego szeptu.

Ty przymknęłaś oczy: szczęście małe
uśmiech twój kołysał coraz senniej...
Nie mówiłem już nic. I patrzałem,
jak powoli wrastałaś we mnie.

Eksperyment

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Michel Butor znalazł się w czołówce francuskich, a może i europejskich pisarzy, próbujących udowodnić sobie i czytelnikom, że prorokowany przez niektórych krytyków kryzys powieści jest kryzysem przejściowym, który hamuje tylko, ale nie kończy w sposób ostateczny rozwoju tego gatunku literackiego. Przypuszczalnie dlatego w „Odmianach czasu" *) rzuca się przede wszystkim w oczy mistrzostwo formy, a zwłaszcza — dochodzący niekiedy do granic niebezpiecznej akrobacji — kunszt kompozycji. Sama zasada tego kunsztu jest bardzo prosta: powieść napisana została w formie dziennika, na którego kartach miesza się nie tylko teraźniejszość z przeszłością, ale, co więcej — mieszają się i przenikają wzajemnie sposoby oceniania i interpretowania mijającego życia narratora z perspektywy „wczoraj" i z punktu widzenia „dziś". W ten sposób pisarz zmusza czytelnika do bardzo uważnego obserwowania narracji, rozdzielania zachodzących niejako na siebie, nawarstwiających się motywów i wątków, a czasem nawet — do skrupulatnego porządkowania i rekonstrukcji fabuły.

Jakież to treści ubiera Butor w tak bogaty i dziwny kostium literacki? „Odmiany czasu" dzieją się w prowincjonalnym mieście angielskim, dokąd przybywa na rok, by pracować w firmie handlowej, młody, francuski urzędnik. Opisany przezeń w dzienniku rok — to okres walki samotnego człowieka z nieprzyjaznym miastem, okres nieustannych konfliktów z obcą mu, specyficznie angielską (oczywiście tak, jak ją rozumie i odczuwa cudzoziemiec — Francuz) atmosferą, z utopionymi w niej zabytkowymi kościołami, domami i ludźmi, do których ciągnie go mimo wszystko zawsze głodne czyjejś obecności i serdeczności ludzkie serce. Ów motyw samotności jest więc bliski filozoficznej problematyce egzystencjalizmu, przypomina zwłaszcza zbudowanego na podobnej koncepcji człowieczego losu „Obcego" Camusa. Jednakże „Odmiany czasu" odbiegają raczej od wyłącznej, literackiej dokumentacji tez egzystencjalistycznych, są bardziej obrazem oddalonej od centrów kultury i myśli prowincji, jest to zresztą obsesyjny wątek powieści francuskiej bodaj od czasów „Muzy z zaścianka". Do namalowania tego obrazu użył Butor różnych technik prozatorskich nie wyłączając relacji właściwej dla beletrystyki kryminalnej, albo — druga krańcowość! — typowej dla przedstawiania procesów podświadomościowych, jednakże precyzja i jasność iście francuskiego *esprit* uchroniła pisarza przed zbyt wyraźnym łączeniem i pokazywaniem szwów w tej niełatwej doprawdy do realizacji syntezie.

O wartości i niepowtarzalności „Odmian czasu" decyduje zatem przede wszystkim oryginalna technika narracyjna, całkowicie — co należy podkreślić — zadaptowana do potrzeb i na usługi tematu, który wyznacza i wręcz niejako postuluje użycie pewnych środków i chwytów formalnych. Niepowtarzalności tej metody i dokonanego przy jej pomocy eksperymentu dowiódł zresztą autoplagiat, jakiego Butor musiał się chwycić pisząc drugą z kolei powieść. Jednakże same „Odmiany czasu" sprawiają sporo intelektualnej i estetycznej satysfakcji i dowodzą, że eksperyment niepowtarzalny może być jednak eksperymentem udanym.

*) *Michel Butor: „Odmiany czasu", Warszawa 1958, PIW, s. 437, 2 nlb. Przekład Eligii Bąkowskiej.*

rysunkami i portrecikami, wykonanymi głównie na pudełkach po papierosach. Są tego setki, jeśli nie tysiące.

Nikifor objaśnia: „To aptekarz... to urzędnik... to ksiądz na ambonie..." Nagle zaczyna się śmiać i wskazuje ręką najpierw na mnie a następnie na rysunek, (który właśnie oglądam) przedstawiający jakiegoś młodego człowieka. „Podobny... podobny..." mówi. Oczywiście z miejsca kupiłem.

Po raz drugi spotykam Nikifora w drodze na stację. Idzie malować, z kasetą pod pachą, w swoim oryginalnym słomkowym kapeluszu z herbami miast.

Przez moment przygląda mi się uważnie, ale zaraz uśmiecha się i po chwili rozmawiamy już jak starzy znajomi. Nikifor jest wyraźnie zmęczony, skarży się, że ciężko mu iść taki kawał drogi, że taksówkarz nie chciał go podwieźć, a on przecież zawsze płaci...

W trakcie rozmowy podchodzą do nas dwie panie, wyrażając chęć kupienia obrazków. Mistrz błyskawicznie taksuje je wzrokiem, a następnie kategorycznym głosem oświadcza: „...nie ma ...nie ma...."

Spieszę się na stację, więc choć mój rozmówca zapalił się, coś peroruje chwyta co chwilę za rękę i poklepuje po ramieniu, mówię: „Muszę już iść na pociąg. Na stację. O tam. Bilet do Warszawy".

Na wspomnienie Warszawy Nikifor żachnął się. Zaczyna mówić prawie zupełnie wyraźnie „...Warszawa... wystawa... zabrał obrazki... nie oddaje... nie odda... nie odda..."

„Odda, odda", uspokajam go. — „Na pewno odda".

„Aha, odda — ucina z ironią Nikifor — na drugie lato odda!"

Mirosław Derecki

Z CZASOPISM KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH

(Dokończenie ze str. 7)

tody twórcze. Trzeba również ingerować w tworzenie się modelu polityki kulturalnej, na wszystkich szczeblach tej działalności.

O dyrektywach — to święta prawda. Ale autor zapomniał własnego tytułu: „Od teorii do praktyki"... Bo stworzy się „model", a potem rodzony ojciec go nie pozna!

W związku z problemem współczesności literatury warto zwrócić uwagę na treść zamieszczonej w londyńskich „Wiadomościach" notatki (nr 13/14) o nowym kierunku w powieści, który narodził się we Francji i którego przedstawicielami są Nathalie Sarraute i Alain Robbe-Grillet. Kierunek ten zrywa z tradycjami twórczości opartej na konfliktach uczuciowych, psychologicznych czy ideowych:

Powieściopisarz powinien ograniczyć się do opisu, do widzianego „przedmiotu", bez żadnych asocjacji, które budzić może wpływ lub współdziałanie ludzkie z przedmiotem..., W ten sposób powieściopisarz wyzwala się z więzów tradycyjnego „humanizmu" i „antropomorficznego słownika". W ten sposób „anty-powieść" przeciwstawia się konwencji patetycznej dotąd obowiązującej w twórczości. W ten sposób kończy się „zwodnicza" konwencja, a z nią Proust, Balzac, Dostojewski, Dickens, Lawrence, Tołstoj. I Szekspir! Co zostaje? Oko twórcze, które ma zastąpić pomysł, wątek narracyjny, sens, tragizm i wszelkie związki pojęciowe.

Cytujemy za „Wiadomościami", które przytaczają ocenę Pameli Hansford Johnson z „New Statesman". Angielska recenzentka książki Robbe-Grilleta stwierdza, iż śmiały zamiar odarcia powieści ze wszystkich jej atrakcji czyni „Le Voyeur" jedną z najnudniejszych książek, jakie kiedykolwiek się czytało. Jako teoretyk nowego kierunku Robbe-Grillet budzi większe zainteresowanie niż jako twórca:

Powieści, które mają być ilustracjami jego tez, zawodzą. Poza tym zarówno powieści jak cały kierunek są objawem dekadencji estetycznej i społecznej. Sam pomysł zerwania z wszelką tradycją, odrzucenia wszystkiego „za burtę", nieraz już nęcił odwracających się od rzeczywistości, udręczonych nią „intelektualistów". Niejednego przykładu dostarczają poprzednie pokolenia, choćby Marinetti ze swym futuryzmem. Nic w tym nowego, tylko ucieczka od życia, jego prawdy i zagadnień.

Słuchajcie — to głos z Zachodu!!

Tygodnik „Les Nouvelles Littéraires" zamieścił w jednym ze swych niedawnych numerów świetną charakterystykę pracy pisarza, pióra Jean Dutourd, autora „Ame sensible", książki zawierającej refleksje na marginesie eseju Merimée'go o Stendhalu. „Każdy dobry pisarz — powiada Dutourd — jest grafomanem" —

odczuwa on potrzebę codziennego pisania, tak jak krowy pragną, by je dojono... Zasada nulla dies sine linea przynosi podwójną korzyść. Przede wszystkim dlatego, że wątek twórczy jest cieniutki i łatwo pęka: jeden dzień spędzony bez pisania wstrzymuje rozpęd pisarza, niszczy pewne przyzwyczajenie, pewien system; potrzeba nieraz kilku dni pracy w pocie czoła, ażeby okupić dzień lenistwa... Poza tym dzień, po którym nie zostało ani jednej linijki, jest dniem straconym, bezpowrotnie pogrzebanym w niepamięci, wykreślonym z życia... Wreszcie lenistwo jest zgubne dlatego, że właśnie w trakcie pisania napotykamy pomysły, podobnie jak przygody — w czasie przechadzki. Praca nosi już w samej sobie wartość dodatkową, która stanowi naszą nagrodę.

Jean Dutourd porównuje pisarza z górnikiem, który codziennie schodzi do kopalni na wielkie trudy i wraca stamtąd wieczorem uradowany bodaj drobnym osiągnięciem.

Nazajutrz wszystko jest do odrobienia: człowiek nie widzi nic poza głęboką, czarną dziurą, poza oczekującymi go godzinami nudy i wysiłku, śmiertelną samotnością, wyczerpaniem. Dlaczego więc schodzi w głąb tej kopalni? Nic nas do tego nie zmusza. Wręcz przeciwnie, przyjaciele „nie-górnicy" robią wszystko, co jest w ich mocy, aby uśpić wasze wyrzuty sumienia. Nie przesadzę, gdy powiem, że pisarz daje codzień dowód nadludzkiej odwagi wyrywając się z nurtu życia, aby pogrążyć się w ciemnych głębinach swej duszy. W sztuce nic nie jest zdobyte ostatecznie.

Ten kawałek francuskiej „alchemii słowa" jest naprawdę budujący.

W kwietniowym numerze tygodnika radzieckiego „Inosrtannaja Litieratura" ukazało się sześć wierszy Władysława Broniewskiego do córki poety. Przekład M. Zamachowskiej.

m. b.-r.

NOTY

PAŃSTWOWE NAGRODY KLEMENSA GOTTWALDA ZA ROK 1959 otrzymali: rzeźbiarz Josef Malejovski, dwaj twórcy pawilonu czechosłowackiego na światowej wystawie w Brukseli — Jindrzich Santar i architekt Frantiszek Cubrt, kompozytor Pavel Borzkovec i reżyser teatralny i filmowy Alfred Radok.

REDAKCJA „ŚWIATA" wpadła na szczęśliwy pomysł, dając w n-rze 29 rewię tekstów i ilustracyj z prasy polskiej ubiegłego stulecia. W ten sposób przypomniano o takich naszych periodykach, jak „Tygodnik Ilustrowany", „Kłosy", „Bluszcz", „Wędrowiec", „Wszechświat" i in. Z pewnym rozrzewnieniem patrzymy dzisiaj na ten „stary, stary świat", który na szczęście nie znał takiego problemu, jak bomba atomowa, ale jak i my potrafił również interesować się (w pierwszej połowie stulecia) utopijną „krainą na księżycu", zajmować się takimi sprawami, jak „deszcz na zamówienie", wykazywać szkodliwość tytoniu dla palaczy i występować przeciwko... „pesymizmowi literackiemu". Stary, poczciwy świat, w którym gorszono się „Naną", w którym królowa hiszpańska Krystyna wzniosła się na balonie na wysokość trzystu metrów, a „ziemianin" p. Karmiński odbył „bicyklem" podróż z Kielc do Warszawy w rekordowym czasie... 16 godzin. Niestety, nie taki znowu poczciwy... Mówią o tym fotografie z „The Illustrated London News" związane z wyprawą Anglików w r. 1896 do Ashanti. Zwłaszcza jednego ohydnego pomysłu kolonialistów nie powstydziłby się Hitler: zdjęcie przedstawia publiczne całowanie butów zwycięskiego sir Fr. Scotta przez pokonanego króla murzyńskiego państewka Ashanti Prembeha Quaku Dua III.

JUŻ WIELE PISM NAUCZYŁO SIĘ pisać poprawnie: pierwszy maja (nie maj), jak z przyjemnością można było niedawno stwierdzić w świątecznych numerach. Tylko „Przekrój" wydrukował dwukrotnie na okładce: 1 maj (data numeru i podpis pod fotografią). Ale „Przekrój" jest konsekwentny: w n-rach z innych miesięcy czytamy podobnie: 12 kwiecień, 15 marzec, 22 luty. Jednak nie zawsze tak było. Te błędy zaczęły się ukazywać na zachęcającej do kupienia pisma okładce dopiero od n-ru 723 („15 luty") — widocznie po zmianie redaktora czołowej stronicy „Przekroju".

W ZWIĄZKU Z WIECZOREM AUTORSKIM JUBILATA TADEUSZA BOCHEŃSKIEGO, który przez 11 lat związany był z Lublinem i tutaj wydał pierwsze swoje książki, Oddział Lubelski ZLP, organizujący ten wieczór, zwrócił się do miejscowych dzienników z prośbą o zamieszczenie w gazetach znonsu o mającej się odbyć imprezie. O ile „Kurier Lubelski" spełnił tę koleżeńską usługę, o tyle „Sztandar Ludu", mimo że w jego redakcji pracuje trzech członków naszego Związku, nie uważał za stosowne opublikować naszego komunikatu.

-kaj-

Nowa książka bibliotekarz czytelnik

Akcentem końcowym tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy stała się dla bibliotekarzy naszego województwa 3-dniowa ogólnopolska konferencja na temat doboru książek dla publicznych bibliotek powszechnych (18—20.V. w Lublinie) zorganizowana przez Departament Pracy Kulturalno - Oświatowej i Bibliotekę Ministerstwa Kultury i Sztuki i Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. H. Łopacińskiego wespół z Wydziałem Kultury PWRN. Obradom przewodniczył mgr Czesław Kozioł, zastępca dyrektora Departamentu PKOiB. W pierwszym dniu referaty wygłosili: mgr St. Siekierski z Instytutu Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej: „Analiza zakupu i wykorzystania książek nowozakupionych w publicznych bibliotekach powszechnych 1957/58"; mgr H. Grabowska z Instytutu Bibliograficznego B. N. — o kompletach kart adnotowanych jako pomoce przy doborze książek; naczelny redaktor „Nowych Książek" mgr A. Klimowicz — o przydatności tego pisma w pracy bibliotek powszechnych.

W drugim dniu — Stefania Jarzębowska z WMBP im. Łopacińskiego wygłosiła referat na temat: „Ocena uzupełniania księgozbiorów w powszechnych bibliotekach publicznych w roku 1958 i I kw. 1959" (dane z woj. lubelskiego) i mgr. Wiesława Baszczyńska z WMBP — o wykorzystaniu źródeł informacji o książce, także z materiałów lubelskich.

W obecnej sytuacji politycznej i gospodarczej przed bibliotekami powszechnymi stają coraz rozleglejsze zadania, co sprawia, że punkt ciężkości ich oddziaływania będzie się przesuwał w kierunku takiego kształtowania księgozbiorów, aby — oprócz udostępniania literatury pięknej mogły one zapewnić każdemu czytelnikowi w mieście czy na wsi zdobywanie podstaw wiedzy lub rozszerzanie jej. Proces ten wyraźnie daje się obserwować zarówno w bibliotekach radzieckich, jak i zachodnioeuropejskich (duże osiągnięcia ma tutaj Dania), a także amerykańskich, jak donoszą o tym relacje pism bibliotekarskich.

Struktura księgozbiorów, w których obecnie istnieje znaczna przewaga beletrystyki (60—70 proc. całości) nad literaturą popularno-naukową, a zwłaszcza ten ostatni dział obejmujący wszystkie dziedziny wiedzy — to przedmiot bieżących badań instytutów Biblioteki Narodowej w zasięgu ogólnopolskim. Nad brakami tej struktury, pewnymi nierównomiernościami w zaopatrywaniu bibliotek w nowości wydawnicze, nad sposobami wykorzystania istniejących informacji o ruchu wydawniczym i użytkowaniem księgozbiorów radzili bibliotekarze w Lublinie na podstawie wyników wycinkowych badań Instytutu Czytelnictwa i Książki oraz Instytutu Bibliograficznego B. N.

Prawidłowe zaopatrywanie bibliotek powszechnych zależy od całego splotu czynników — finanse, zaopatrzenie księgarni Domu Książki, szybkość informacji o książkach, znajomość zainteresowań czytelniczych i umiejętność kierowania nimi. Właściwa synchronizacja działania bibliotek, wydawców, bibliotecznych instytutów naukowych i specjalnych wydawnictw informacyjnych — oto główny postulat narady bibliotekarskiej, którego realizacja pomoże spełnić bibliotekom powszechnym ich zadania.

(zm)

Księgarskie nowalijki

Nieco spóźnione w stosunku do trwających „Dni Oświaty, Książki i Prasy" posypały się ostatnio istnym gradem dobre nowości wydawnicze i to przeważnie autorów polskich. Ujrzymy więc niezadługo wydane w PIW-ie: — opracowaną przez J. Siradeckiego pełną bibliografię utworów Tuwima pt. „JULIAN TUWIM — BIBLIOGRAFIA" (opr. płóc., c. zł 68, nakład 6.000), antologię „POECI RENESANSU" w opracowaniu J. Sokołowskiego (opr. płóc., c. zł 33, nakł. 3.000), pamiętnik lekarza wileńskiego S. Morawskiego pt. „KILKA LAT MŁODOŚCI MOJEJ W WILNIE 1815—1825" (opr. płóc., c. zł 50, nakł. 7.000), przynoszący wiele ciekawych szczegółów dotyczących środowiska, w którym żył i tworzył Mickiewicz, tom historycznych szkiców J. Reychmana pt. „ŻYCIE POLSKIE W STAMBULE W XVIII WIEKU" (opr. płóc., c. zł 30, nakł. 4.000), drugą (po 120 latach) edycję powieści obyczajowej z połowy XVIII wieku Fr. Skarbka pt. „ŻYCIE I PRZYPADKI FAUSTYNA FELIKSA NA DODOSZACH DODOSINSKIEGO" (opr. brosz., c. zł 12, nakł. 5.000), przetłumaczony przez J. Dutkowską-Fiszerową, następny tom dzieł A. Jiraska „MARYLA, PANI ZE DWORU" (opr. brosz., okładka utrzymana w stylu poprzednich edycji, c. zł 11, nakł. 7.500) oraz wznowienie fantastycznej powieści H. G. Wellsa „LUDZIE JAK BOGOWIE" (cykl „Powieści XX wieku", opr. płóc., c. zł 25, nakł. 30.000) w przekładzie J. Sujkowskiej.

S. W. „Czytelnik" rzuci w najbliższych dniach na rynek księgarski przekład (E. Wolf) jednej z ostatnich powieści E. Remarque'a pt. „KOCHAJ BLIŹNIEGO" (opr. brosz. z obw., c. zł 25, nakł. 10.000), poświęconej losom emigrantów niemieckich, zmuszonych do opuszczenia ojczyzny wskutek zagarnięcia władzy przez Hitlera, tom opowiadań N. Rolleczek pt. „IDYLLA" (opr. brosz. z obw., c. zł 12, nakł. 5.000 oraz bogato ilustrowany fotoreprodukcjami pamiętnik znanego warszawskiego malarza Br. Kopczyńskiego pt. „PRZY LAMPCE NAFTOWEJ" (opr. płóc., c. zł 70, nakł. 5.000).

„Iskry" wydały ostatnio w przekładzie S. Niewiadomskiego „DZIENNIK HISZPAŃSKI" M. Kolcowa (opr. brosz., c. zł 28, nakł. 10.000), jednego z najzdolniejszych reportażystów radzieckich, relacjonujący tragiczne dzieje walki republiki hiszpańskiej przeciwko nawale faszystowskich interwentów, nową powieść fantastyczną St. Lema pt. „EDEN" (opr. brosz., c. zł 15, nakł. 25.000), w której autor po raz pierwszy podejmuje zagadnienie trudności, jakie mogą wyniknąć przy nawiązywaniu przez eksplorerów kosmicznych z gatunku ludzkiego kontaktów ze światem istot rozumnych zamieszkujących inne globy, a nadto kryminalną powieść J. Wołowskiego, drukowaną ostatnio w odcinkach „Życia Warszawy" pt. „KRYPTONIM »PROSZEK DO PRANIA«" (opr. brosz., c. zł 10, nakł. 30.000).

W wydawnictwie MON ujrzała światło dzienne nowa powieść historyczna Wł. Rymkiewicza „CAREWICZ NA ULICACH KRAKOWA" (opr. brosz., c. zł. 17, nakł. 10.000), której tłem są intrygi polskiej magnaterii w okresie moskiewskiej „smuty", wyrażające się w poparciu udzielanym zabiegom Dymitra Samozwańca o zdobycie tronu carów Rusi. Nadto w kryminalnej serii „Labiryntu" — nowa powieść A. Kłodzińskiej pt. „SREBRZYSTA ŚMIERĆ", (opr. brosz., c. zł 12, nakł. 30.000).

Pozostałe wydawnictwa reprezentowane są w dzisiejszych nowalijkach pojedynczymi tylko pozycjami:

Wyd. Łódzkie — powieścią partyzancką E. Szustera pt. „LEŚNI" (opr. brosz., c. zł 14, nakł. 10.000); Wyd. Morskie — podróżniczą przygodową powieścią W. Arciszewskiej z początku bież. wieku pt. „W POGONI ZA SZMARAGDOWĄ GWIAZDĄ" (opr. półpłóc., c. zł 35, nakł. 10.000), której tłem są egzotyczne kraje Indochin; Ludowa S. W. — nową, oryginalną, dwutomową powieścią J. Wiktora pt. „MIŁOŚĆ WŚRÓD PŁONĄCYCH WZGÓRZ" (opr. brosz., c. zł 56, nakł. 7.000), w której, dzięki swoistej kompozycji, autor demonstruje narastający na przestrzeni sześciu wieków problem buntu jednostki przeciw krzywdzie społecznej i hamulcom postępu, tkwiącym głównie w instytucji Kościoła; Wyd. „Śląsk" — nową sensacyjną powieścią Z. Sztaby pt. „PUSZKA BŁĘKITNEJ EMALII" (opr. brosz., c. zł 17, nakł. 40.000), zawierającą w rzeczywistości oprócz tytułowej jeszcze drugą, krótszą opowieść kryminalną „Śmierć w lustrze".

Na ostatek informacje o nowych „Jubilinianach": — pierwszą pozycją z nich jest wydany w serii Biblioteki Narodowej Ossolineum przekład komedii E. Augiera i J. Sandeau pt. „ZIĘĆ PANA POIRIER" (opr. płóc., c. zł 17, nakł. 2.300) pióra Marii Bechczyc-Rudnickiej, drugą — z dawna oczekiwana monografia Lublina, opracowana przez H. Gawareckiego i Cz. Gawdzika, a wydana w przepięknej szacie przez „Arkady" pt. „LUBLIN" (opr. płóc. ze śliczną obwoluta, c. zł 70, nakł. 5.000). Obrazuje ona urbanistyczny i architektoniczny rozwój naszego miasta przy użyciu ogromnej ilości doskonałych jedno- i wielobarwnych fotoreprodukcji zdjęć, szkiców, planów i historycznych obrazów.

Nowinkarz

O czym pisała „Kamena" przed 25 laty

Nr 9 „Kameny" (maj 1934 r.) zawierał uwagi J. Przybosia „Na marginesie artykułu Czernika", wiersze M. Piechala, St. Piętaka, J. Mondscheina, J. Łobodowskiego i Z. Waśniewskiego, artykuł Serg. Kułakowskiego „Maksymilian Wołoszyn", przekłady wierszy poetów rosyjskich: Kryłowa (tłum. W. Szul.), Lermontowa (tłum. K. A. Jaworski), Kuzmina (tłum. J. Czechowicz), Wołoszyna, Sologuba, Gumilowa, Siewierianina, Majakowskiego i B. Pasternaka (tłum. K. A. Jaworski), przekłady wierszy futurystów włoskich: Fr. Cangiulla (tłum. Jalu Kurek) i A. Palazzeschi'ego (tłum. K. A. Jaworski), artykuł St. Czernika „Najazd, którego nie było", przegląd książek najnowszych J. N. Kłosowskiego, noty i dział „Pro urbe sua". Wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego: Fragment Zamku w Łucku.

odpowiedzi redakcji

P. P.

R. Jabł. w Warszawie. O wierszu „Omne humanum" pamiętamy. Cóż poradzimy, że brak miejsca w piśmie lubelskim powoduje długie kolejki i uczy cierpliwości autorów spoza Lublina.

W. Bień. w Warszawie. Pamiętamy.

Ig. Ig. Gąs. w Łodzi. Ostatnie wiersze są dużym osiągnięciem w Pańskim obcowaniu z poezją. Jeśli zostały przysłane w celu zamieszczenia ich w „Kamenie" (bo nie dołączono listu), skorzystamy z paru (tylko nie z fraszek).

Piotr Kaz. Kr. w Warszawie. „Srebrzysty róg" księżyca, „kwitnący koral ust", „miłości nektar", „słodycz idylli" to wszystko oklepane banały. Stosunkowo nieco lepszy „Szewc". Nie zamówionych materiałów nie zwracamy.

Ad. Mom. w Szczecinie. Wiersze bardzo nierówne. Niektóre zdecydowanie złe („Arrasy"). Co to znaczy: „Noc... chodzi po mieście jak mamona"(!)? Dlaczego fale są wielkie „jak Doże"? Do rymu — morze? Ale jest kilka utworów lepszych, np. „Wiatr", „Droga", „Most", „Wieczór". Postaramy się (nie obiecujemy na pewno: ustawiczne trudności z brakiem miejsca) któryś z tych czterech wierszy kiedyś zamieścić.

Jac. Głaż. w Poznaniu. Jak wyżej z tym samym zastrzeżeniem — w stosunku do wiersza „Wszyscy mieszkamy pod namiotem", jeśli utwór był przysłany w celu wykorzystania go w „Kamenie", nie zaopatrzono bowiem wierszy żadnym listem.

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36.40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 1849. 9.V.59. E-1